

Dekada Literacka

Kraków

2-8 III 1991 r.

Tygodnik

Nr 14

DUSZA A UBIÓR (II)

Ireneusz Kania

Ubiór jest faktem społecznym sytuującym się gdzieś pomiędzy sztuką a obyczajem, z jednej więc strony zasadne jest stosowanie do niego kategorii i pojęć z zakresu estetyki, z drugiej — można go analizować jako pewną rzeczywistość socjologiczną, psychologiczną, etnograficzną itd.

W związku z pierwszym z wymienionych podejść odnośmy często do ubioru kategorię stylu — w podwójnym znaczeniu: węższym, jako ekspresji indywidualnej, i szerszym, jako „powszechnie w danej epoce używanego języka artystycznego” (jak pisał Władysław Tatarkiewicz).

Co ma wspólnego ubiór z duszą?

Refleksyjnie usposobionemu czytelnikowi pytanie może się wydać retoryczne; wiadomo, strój nas po- niekąd wyraża, stanowi eks-

presję naszych skłonności estetycznych, upodobań, owszem, nawet postawy wobec świata. Ponieważ przyjmuje się, iż aktem kupowania, potem nakładania na grzbiet (i przyległe okolice) takiego bądź innego przyodziewku kieruje głównie „gust”, „smak”, „moda” (pomijamy tu determinanty finansowe) — a więc czynniki raczej irracjonalne, przyjął by również wypadało, iż strój wyraża głębokie, może najgłębsze, treści naszej psychy, *ex definitione* nieświadomione. Wyraża, a więc artykułuje. Strój jest artykulacją. Podobnie jak nieświadoma mowa czy tzw. czynności pomyłkowe, strój do pewnego stopnia wyrażałyby zatem te treści psychy, które wręcz decydują o osobowości człowieka, o jej niepowtarzalnym (?) profilu indywidualnym.

Strój jest więc znakiem (ze- społem znaków) pewnego kodu, idiomu. Kod zaś pełni rozmaite funkcje. Obok ekspresywnej, bardzo jest ważna jego funkcja impresyjna (określone oddziaływanie na innych nosicieli tego samego kodu) i identyfikująca (przynależność do określonej grupy).

Mamy tu więc do czynienia z funkcjami społecznymi. Dlatego analiza ubioru może nam dostarczyć ważnych i różnorodnych informacji o danej społeczności *hic et nunc*.

Te wstępne uwagi od razu nasuwają kilka pytań. Po pierwsze: jak się ma ubiór współczesny do tradycyjnych kategorii estetycznych obowiązujących w tej dziedzinie, takich jak styl, gust, elegancja, stosowność? Po drugie: o ile ubiór wyraża wszechstronną emancypację podmiotową człowieka współczesnego w krajach zdominowanych — materialnie, ale i mentalnie — przez cywilizację konsumpcji? Po trzecie: jakie są estetyczne i społeczne źródła współczesnej mody? Po czwarte: jak wyglądają obecnie stosunki między stylem a modą?

Styl

Zacznijmy od zagadnienia stylu. Nieśmiertelne powiedzonko Buffona „Le style c'est l'homme” (styl to człowiek) wyraża lapidarnie

(C. D. NA STR. 2)

WILLIAM BLAKE (1757—1827) — syn londyńskiego pończoszniaka, wybitny angielski poeta mistyczny oraz malarz. Jego twórczość ukształtowała się pod wpływem mistycznej filozofii Swedenborga i Boehma oraz żydowskiej kabały i Biblii. Blake zaczął tworzyć w wieku 12 lat. „Song” („Pieśń”) pochodzi z młodzieńczego zbiorku liryków „Poetical Sketches” („Szkice poetyckie”) wydanego w 1783 roku. Pisząc ten wiersz, poeta miał 14 lat..

William Blake

Song (pieśń)

Jak miło było włożyć się po polach
smakując przepych lata,
póki nie ujrzałem księcia miłości,
który po słonecznym zsunął się promieniu.

On wpinał lilie w moje włosy,
wieniec splótł z róż na czoło
i prowadził w ogrody piękności,
gdzie złote rosło szczęście.

Mokre mam skrzydła od majowej rosy,
Febus zapalił głos mój gniewem;
złapał mnie księżę w jedwabne sieci
i w złotej zamknął klatce.

Lubi siedząc słuchać mej pieśni,
potem śmieje się ze mną igrając;
wreszcie złote odrywa mi skrzydła
drwiąc z mojej niewoli.

tłum. Jan Piekło

Trudna obecność

Z Bolesławem Taborskim
rozmawia Krzysztof Lisowski

Kontynuujemy druk cyklu rozmów z pisarzami emigracyjnymi, jakie przeprowadził Krzysztof Lisowski w latach 1987 — 1991. Skrócona wersja wywiadu z Bolesławem Taborskim, polskim poetą, eseistą, teatrologiem i tłumaczem publikowana jest niejako przy okazji zjazdu polskich pisarzy tworzących w Polsce, który odbędzie się — z inicjatywy Stowarzyszenia Pisarzy Polskich — w dniach 17 — 20 marca br. w Warszawie.

♦ Pana wieloletnia obecność na krajowym rynku literackim odróżnia Pana od wielu twórców działających poza krajem. Jak do tego doszło, że zdecydował Pan tak wcześnie — w określonych warunkach politycznych — publikować w Polsce i co z tego dla Pana wynikło?

Bolesław Taborski: Te „określone warunki polityczne” to okres po październiku 1956, okres nadziei, później zawiedzionych. Wraz z kolegami — w większości młodymi poetami — z którymi redagowałem wówczas pismo „Merkuriusz”, przemianowane potem na „Kontynenty”, widzieliśmy te zmiany i czuliśmy potrzebę obecności. Byłem wprawdzie pierwszym spośród nas który wybrał się do Polski, w marcu 1958 roku, ale w tym samym czasie wydał w „Czytelniku” swój debiutancki tomik wierszy Jerzy Sito, który później wrócił i jest dziś prezesem tegoż „Czytelnika”. Wielu z nas wydało na przestrzeni lat swoje książki w Polsce. Osobiście, choć zadebiutowałem w Londynie tomikiem „Czasy mijania” w roku 1957, dość wcześnie doszedłem do

wniosku, że czytelnicy poezji są w pierwszym rzędzie w Polsce. PIW przyjął mój tomik „Ziarna nocy”, który wyszedł w 1958. W tym samym roku nawiązałem współpracę z „Więzią”, a jeszcze wcześniej — z „Tygodnikiem Powszechnym” oraz — po linii moich zainteresowań profesjonalnych — z „Dialogiem” i „Teatrem”. Także — z „Życiem Literackim”, które w tym okresie było ciekawym i dość niezależnym pismem oraz z „Nową Kulturą”, którą redagował wówczas Wiktor Woroszyński (on też prowadził moje pierwsze spotkanie autorskie w kawiarni „Czytelnika” w marcu 1958 roku).

♦ Cofnijmy się jeszcze bardziej w czasie. Był Pan żołnierzem AK i bardzo młodzieńskim uczestnikiem powstania warszawskiego. Czy mógłby Pan opowiedzieć o sobie w tamtych czasach i początkach swego wierszopisarstwa, a także pierwszych latach pobytu na emigracji?

— Ojej, mogłaby to być bardzo długa opowieść, chyba zrobić to w pamiętnikach, jeśli zdąży do nich „dojrzeć”

W wielkim skrócie — początki mojego wierszopisarstwa sięgają okresu jeszcze przedwojennego, chyba roku 1937. Ale to pierwociny, jak i wiersze, które pisałem w czasie wojny oraz po wojnie w Anglii jako student — były juveniliami w stylu romantycznym i młodopolskim. Po kilkuletnim milczeniu od roku 1950 wróciłem do poezji, już zupełnie inaczej, gdy zetknąłem się z rówieśnikami będącymi w podobnej co ja sytuacji i gdy zaczęliśmy wydawać „Merkuriusza”. Co do moich osobistych losów — do AK wstąpiłem w Krakowie w lutym 1943, a mieszkałem w tym mieście u babci od początku roku 1940 do kwietnia 1943, gdy przeniosłem się do Warszawy. Tam uczyłem się na tzw. tajnych kompletach w gimnazjum im. W. Górskiego oraz wstąpiłem w tym samym roku do pułku AK Baszta i w jego szeregach brałem udział w powstaniu na Mokotowie. Potem byłem w obozie jeńców w Sandbostel koło Bremy, a po wyzwoleniu zrobiłem maturę w liceum polskim w Lubecie. Przez Włochy wraz z rodzinami II Korpusu Polskiego przybyłem do W. Brytanii w grudniu 1946, a w następnym roku rozpocząłem studia anglistyczno-teatrologiczne na uniwersytecie w Bristolu. Od r. 1953 mieszkam w Londynie. To byłyby pierwsze lata pobytu na emigracji w „błyskawicznym skrócie”.

♦ Wydaje mi się, że Pan jak i inni z tego pokolenia (myślę choćby o większości uczestników antologii „Ryby na piasku”) byli krytycznie, „racjonalistycznie” nastawieni wobec postaw i poglądów wcześniejszej generacji emigracyjnej. Świadczy o tym m.in. bardzo ironiczny, moim zdaniem, i szczególnie trafny wiersz „Okulary”. Jak to naprawdę było?

— Myślę, że choć w ówczesnych warunkach obie strony, to znaczy tzw. stara emigracja i my młodzi, nadawali tym różnicom polityczny charakter, w gruncie rzeczy był to przejaw tego, co Anglicy nazywają „generation

gap”, różnicę między pokoleniami. „Starczy” bronili postaw i wartości zatrzymanych jak gdyby na 1939 roku, my, nie będąc bynajmniej „agentami reżymowymi”, jak nam zarzucano, widzieliśmy przemiany zachodzące w Polsce i uważaliśmy, że naród ten tak czy owak się rozwija, a emigracja jako taka nie może zastąpić narodu jako takiego. Widzieliśmy też, niektórzy z nas, bo przecież nie stanowiliśmy jednolitej grupy politycznej, a nawet literackiej — w sensie posiadania jednej poetyki — że formy instytucjonalne zachowywane na emigracji przestają być aktualne. Krytykowaliśmy, ale przecież to naturalne zawsze i wszędzie, że młodzi krytykują starzy, a starzy oburzają się z tego powodu. Ciekawe, że gdy na początku lat 60. miałem kolejne spotkanie autorskie w Polsce, tak się składa, że w tej samej kawiarni „Czytelnika” (tym razem prowadził je Sito, który

(C. D. NA STR. 4)



DUSZA A UBIÓR (I)

(C. D. ZE STR. 1)

wzmiankowany wyżej fakt psychologiczny: w sposobie ubierania się (mówienia, pisanie itd.) dochodzi do głosu nasz stosunek do świata, do samych siebie, wyznawane przez nas wartości, duchowy ład (bądź brak tegoż), poziom ogólnej kultury. Styl to zespół środków wyrazu krążących wokół jednej bądź kilku aksjologicznych dominant. Rzecz jasna, są one historycznie i kulturowo zmienne: bywają nimi już to takie wartości jak ład, umiar, harmonia (ujmowana nawet liczbowo, jak u Greków), bądź takie jak okazałość, dostojność, asceza, albo oryginalność, natura, bądź wręcz esławiony „luz”, itd. Ich — a zatem i stylu — źródła mogą być najrozmaitsze (bywają np. religijne). Warunkami wszakże sine qua non każdego stylu są jego zakorzenienie aksjologiczne oraz ustrukturywanie wokół pewnej dominanty ideowej, na ogół ściśle związanej z przyjętym w danej epoce bądź zwalczanym systemem wartości. Tylko wówczas styl może stać się „znakiem czasu” zaświadczyającym syntetycznie o ogólnym charakterze epoki, jej dynamice — wstępującej albo zstępującej — o indywidualnych aspiracjach ludzi w niej żyjących, o stanie ich dusz.

Styl ujawnia — i ukrywa

Styl wszakże tyleż ujawnia, co i ukrywa, jest bowiem zarówno ekspresją indywidualną, jak i ponadosobową. Podobnie dzieje się w języku, w ujęciu F. de Saussure'a: parole, stanowiąc indywidualną realizację języka, ujawnia cechy jednostkowe podmiotu mówiącego, podczas gdy langue, jej ponadindywidualna, abstrakcyjna podstawa, osobniczo różnicowanie zaciera i niweluje. Tak więc w zakresie wyboru środków ekspresji (w tym wypadku — stroju) zawsze nasza indywidualna swoboda jest ograniczona wymogami kodu ponadindywidualnego, w tym wypadku — mody. Moda zatem, która by programowo głosiła niczym nie skrepowaną swobodę, dowol-

ność, to *contradictio in adiecto*. Taka moda niszczyłaby samą siebie, owszem, nawet samo pojęcie mody, gdyż wiąże się ono zawsze z pojęciem stylu, a ten, jak widzieliśmy, będąc pewną strukturą (ładem), przeciwstawia się chaosowi. (Przypomnijmy, że greckim przeciwstawieniem pierwotnego Chaosu był Kosmos; czasownik *kosmeo* znaczy „układać, porządkować, ładzić; ozdabiać, panować”).

Ale styl to nie tylko pewna struktura ideowa; składa się nań również rozległa sfera mediów materialnych, w których i poprzez które styl się urzeczywistnia. Rodzaj i charakter użytych w stylowej ekspresji materiałów sam jest środkiem tejże ekspresji, mówiącym wiele o duchowym klimacie epoki (ba, pozwalającym do pewnego stopnia wnosić o jej aksjologicznym i filozoficznym obliczu). To na przykład, że w dawnych epokach kościoły, pałace i inne ważniejsze gmachy wznoszono ze szlachetnych, naturalnych, praktycznie niezniszczalnych materiałów, że ubiory sporządzano ze szlachetnych, naturalnych, wytrzymałych dziesiątki i setki lat tkanin, i to, że dzisiaj zastąpiły je najrozmaitsze surowce — nie tylko jest sprawą aktualnego poziomu techniki wytwórczej, deficytu surowców naturalnych itp., ale pozostaje w jakimś trudnym do wyrażenia i opisanie, lecz przecież oczywistym związku z przeobrażającym już dziś światopoglądem i systemem wartości, zgodnie z którym Byt był dobry, świat — rozumny i uładzony, materia — konkretna i istniejąca w sposób niewątpliwy, człowiekowi zaś pośród tego wszystkiego przysługiwała pozycja centralna jako korony i pana stworzenia. Dzisiaj wszystko jawi nam się inaczej, ba, całkiem na odwrót; ułomność Bytu, zmienność i nieuchwytność nietrwałego świata, degradacja człowieka dziwnie „harmonijnie” współgrają z uniwersum otaczających nas rzeczy jednorazowego użytku, nędznej jakości, z kiepskich materiałów, produkowanych seryjnie i tandetnie dla tandetnego również „człowieka masowego”, by użyć określenia Ortega y Gasset.

W co ubierają się Polacy?

Zauważmy przede wszystkim, że współcześnie u nas lansowane mody (bądź „style”) są pochodzenia obcego, zrodziły się i ukształtowały pod innymi niebami. Wzrost na przykład „mody dżinsowej”, rodem z USA. Jej ideowym rdzeniem jest funkcjonalność, użyteczność w sferze codziennych zajęć na roli, w fabryce, w warsztacie mechanicznym. Jakoż tkanina, z którą tu mamy do czynienia, to tani, zwyczajny, gruby i szorstki („ordynaryjny”, powiedziano by sto lat temu) drelch, dokładnie bowiem to właśnie oznaczają angielskie słowa *blue jeans* i *denim*. Jej walory użytkowe przy codziennej, ciężkiej pracy są niewątpliwe. To, że dżinsowe portki (w połączeniu z T-shirt bądź flanelową kraciastą koszulą) awansowały do rangi „mody”, że zatem dostąpiły swego rodzaju nobilitacji, wiąże się z egalitarnym charakterem społeczeństwa amerykańskiego i ze społecznym wysekim wartościowaniem ciężkiej pracy — z plebejskim w gruncie rzeczy ze swej genezy, wyznawanym w Ameryce systemem wartości. Późniejsza, wtrona nobilitacja niebieskiego drelchu (wyrabianie zeń kurteczek czy spodnie, ozdabianie haftami lub falbankami, albo nawet koronkami), jest już zjawiskiem bardziej wyrafinowanym estetycznie; można by je określić jako świadomą autoironię, autopersyflaż kulturowy, dowartościowanie estetyczne użytkowego wytworu rodzimej, plebejskiej kultury. Jeśli tak, to mielibyśmy tu do czynienia ze świadomą próbą działania „stylotwórczego”. Czy udana — to inna kwestia.

Kariera blue-jeansu

Moda dżinsowa, przejęta mechanicznie przez inne kraje, wpisana w odmienną od amerykańskiej pod względem jakości, etosu, tradycje kulturową, uplasowana na zupełnie innym poziomie cywilizacyjnego rozwoju — zaczyna funkcjonować, co oczywiście, inaczej niż w krajach swych narodzin, staje się bowiem elementem odmiennego społecznego systemu komuni-

kacji i systemu wartości. Plebejsko-funkcjonalna proweniencja dżinsu zostaje przy imporcie częściowo zamazana, często też schodzi na dalszy plan. (Znamienne, że w Polsce portki dżinsowe nosiły zrazu miano „farmerek”, o którym mało kto dziś pamięta.) Wyrazem tego staje się cena niebieskiego drelchu, dorównująca, a nawet przewyższająca cenę tkanin jakościowo nieporównywalnie lepszych, „szlachetnych”. *Blue jeans* odrywa się od swego kulturowego podłoża i zaczyna funkcjonować w innym zgola układzie aksjologicznym — mianowicie jako symbol „lepszego świata” i wyraziciel mniej lub bardziej wyraźnie uświadomianych aspiracji milionów ludzi. Dostępuje autentycznej nobilitacji. Dżinsowa „moda”, na Zachodzie będąca produktem młodzieżowej subkultury, wyrazem protestu bądź przekory wobec świata dorosłych, *establishmentu* i wartości wyznawanych przez klasę średnią, egzystującą zatem głównie na obrzeżach społeczności — tutaj traci ten swój „niepoważny” charakter, staje się czymś zupełnie — a nawet bardzo — serio (widywano już nawet dżinsowe „garnitury wizytowe”), zmienia swoje społeczne usytuowanie.

Jak więc często przy kulturowych pożyczkach, dochodzi do pewnej konfuzji: aksjologiczna, semantyczna i estetyczna dominanta przejmowanego faktu zostaje częściowo zagubiona, częściowo zaś ulega zniekształceniu, odziera się ją bowiem z pewnych elementów i funkcji, przydaje się jej zaś nowe. Ubiór prosty i tani, ze zgrzebnego materiału, jał u nas funkcjonował jako luksusowy wykładnik zamożności i nowoczesności. Nastąpiło rozbitcie czytelnej i logicznej spójnej struktury aksjologicznej leżącej u podstaw organicznego zjawiska kulturowego, jakim była w Ameryce „moda” dżinsowa. Triada: walory użytkowe — niska cena — „ordynarność” tkaniny na naszym gruncie przybrała postać: wysoka cena — funkcja reprezentacyjna — „ordynarność” tkaniny. Jest to struktura wewnętrznie sprzeczna, *de facto* zatem samoniszcząca się jako możliwy fundament „stylu”, który przecież powinien być wewnętrznie koherentny, o ile miały stać się kulturową wartością. Dlatego dżinsowa moda w Polsce (i krajach naszymu podobnych)

wygląda tak nedorzecznie i często przyjmuje formy karykaturalne; widzimy nierzadko na ulicach całe rodziny, łącznie z maluchami, od stóp do głów umundurowane w niebieskie drelchki. (Siłą rzeczy nasuwa się obraz Chin sprzed parunastu lat, kiedy to Mao narzucił milionom ludzi niebieski uniform jako strój obywatelski.)

Reklama na plecach

Podobnie rzecz się ma z wieloma innymi elementami dominującego dziś na naszych ulicach sposobu ubierania się. (Czytelnik domyśla się już zapewne, dlaczego w tym kontekście nie używam słowa „styl”). Obnoszone przez młodzież (ale nie tylko) wszelkich odmian i rodzajów kurtki i kurteczki, upstrzone mnogością barwnych naszywek, naklejek i emblematów zawierających najczęściej treści reklamowe są zwykłym, normalnym wytworem ubocznym amerykańskiej cywilizacji samochodowej, tamtejszego świata biznesu i reklamy, infantylnej, a tak charakterystycznej dla Ameryki fascynacji coraz to nowymi gadżetami.

Krzyżujące z naklejek i naszywek nazwy firm produkujących samochody, motocykle, gumę do żucia i do uprawiania miłości, piwa, śmieśzki w swej naiwności deklaracje w rodzaju I AM O.K.I, I AM THE BEST, zachęty śmieśzko-sprośne jak LICK MY BOX czy całkiem idiotyczne jak BE MY LOVER, emblematy US ARMY itd., itd., — są emblematami zwykłego pejzażu emocji, skrytych tęsknot, wręcz światła rzeczy, w których na co dzień obraca się Amerykanin.

„Moda” na takie kurtki, naszywki itp. wyrasta zatem organicznie z tamtejszego podłoża cywilizacyjnego i tworzy z nim harmonijną, poniekąd całość, wyraża pewien sposób zwyczajnego życia, ma więc znamiona „stylu”. Za to emblematy owe i naszywki, przeniesione na obcy — choćby i językowy — grunt zaburzą jego „środowisko semantyczne”, owszem, wprowadzają do niego element chaosu; ich absurdalność niepokoi i drażni.

(CDN)

Ireneusz Kania

Co nowego w prasie?

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, jako pierwsze bodaj wśród organizacji twórczych, opublikowało wszechstronne opracowanie jednej ze spraw podstawowych dla obecnego życia kulturalnego, zatytułowane „Raport o stanie książki”. Przygotowała go komisja powołana przez Zarząd Główny SPP. Obszerny tekst „Raportu”, sygnowany nazwiskiem Jana Błońskiego, ukazał się w 8. numerze TYGODNIKA LITERACKIEGO. Składa się on z dwóch części. W pierwszej omówiono krytycznie aktualny stan: 1. produkcji książkowej, 2. wydawnictw, 3. hurtu i detalu księgarskiego, 4. bibliotek, 5. kondycji materialnej pisarzy, w drugiej usiłowano wskazać sposoby poprawy sytuacji we wszystkich tych dziedzinach oraz poinformowano o podejmowanych (głównie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki) środkach zaradczych. Zawarta w cz. I ocena obecnego stanu potwierdza pesymistyczną opinię środowiska kulturalnego: Polska z produkcją roczną 6—7 książek per capita sytuuje się na końcu Europy, widoczny jest

znaczny spadek nakładów i popytu, rośnie procent książek czysto rozrywkowych. Bardzo surowo oceniono brak umiejętności przystosowania się wydawnictw państwowych do aktualnych warunków („Raport” pominął całkowicie wielkie wydawnictwa naukowe — PWN i „Ossolineum”, które radzą sobie dobrze i osiągać duże zyski). Handel, zwłaszcza hurtowy, uznano za najgorszy punkt sieci produkcji i rozpowszechniania książek. Najbardziej alarmistycznie brzmi opinia o stanie bibliotek: w pierwszym półroczu 1990 w 22 województwach zlikwidowano 75 filii i 2722 punkty biblioteczne, zaś w drugim — spodziewano się likwidacji czterokrotnie większej liczby bibliotek. Powodem głównym był wzrost czynszów (...) Zamykanie bibliotek, zwłaszcza zakładowych, postępuje dalej (...) W Poznaniu zamknięty został dla czytelników księgozbiór „Cegielskiego”, liczący 70.000 pozycji. W części postulatywnej „Raportu” stwierdza się, że: władze — wbrew częstym opiniom (...) — starają się łagodzić trudności przeżywane

przez polską książkę (...) Zarazem jednak nie wypracowały — niestety — całościowego programu czy terminarza reform w tej dziedzinie. Konkretnie środki zaradcze proponowane przez autorów opracowania to przede wszystkim: przyspieszenie prywatyzacji wydawnictw; ustalenie jasnych zasad mecenatu państwowego i usprawnienie jego działania (chodzi m. in. o dotowanie debiutów, książek wartościowych literacko i naukowych — w ogóle sprawę pomocy finansowej omówiono w dokumencie najszczegółowiej); apel do samorządów o pomoc dla księgarń specjalistycznych. Niejasny natomiast wydaje się fragment „Raportu” dotyczący bibliotek, który brzmi: Projekt zarządzania i finansowania bibliotek, proponowany

przez ministerstwo, wydaje się ostrożny i rozsądny. Trudno nam też w dzisiejszej sytuacji zaproponować inne działania na rzecz bibliotek, niż przywrócenie im środków na zakupy książek i najbardziej potrzebne inwestycje. Do postulatów tego przywiązujemy jednak zasadniczą wagę. Otóż sęk w tym, że nigdzie w „Raporcie” nie poinformowano, jaki mianowicie „projekt zarządzania i finansowania bibliotek” zaproponowało ministerstwo. Mimo tych zastrzeżeń i mimo pewnej ogólnikowości postulatów, sam fakt opracowania przez SPP raportu w tak istotnej dla kultury sprawie jest znaczącym wydarzeniem. W tym samym numerze redakcja „Tygodnika Literackiego” powiadamia, iż dokonał się podział zespołu reda-

cyjnego, spowodowany przez różnice pokoleniowe, sprzeczne wizje zawartości pisma, odmienne sposoby redakcyjnej pracy. Od następnego tygodnia będą więc ukazywać się w miejsce obecnego pisma dwa różne: „Tygodnik Literacki” i „Potop. Pismo Literackie”. Tygodnik WPROST (nr 8) cytuje listy z prośbą o pomoc, kierowane do poznajskiego miliardera p. Gawronika. M. in. szczególną aktywnością odznaczają się agendy ZLP, które kolejno proszą Gawronika: o sponsorowanie *Listopada Poetyckiego*, dofinansowanie siedmiu tomików *Poetyckich* (...), o założenie *Wydawnictwa Bestsellerów Literackich* oraz o ufundowanie nagrody dla długoletniego prezesa oddziału ZLP.

(J. L.)

Niepolitycznie o polityce

Nie wiem, czy do dzisiaj istnieje nadające w językach zachodnich, m. in. po francusku, warszawskie Radio Polonia. Ale jeszcze nie bardzo dawno temu wysłuchałem firmowanej przez tę służbę Polskiego Radia żarliwej pochwały gen. Jaruzelskiego, która z pewnością usatysfakcjonowałaby dalego o dobre imię tej postaci Jerzego Lohmana (por. „Dekada Literacka” nr 9). Otóż wydaje się, że zamiast marnować pieniądze podatników (czyli nasze) na podobne prośki, sensowniej byłoby dowołać do życia serwis wschodni Polskiego Radia mówiący do narodów rozpadającego się, czy przepowiadającego, Związku Radzieckiego. Serwis ten — w językach litewskim, białoruskim, ukraińskim, a zwłaszcza rosyjskim — nie tylko wyjaśniałby naszą politykę zagraniczną (chcielibyśmy, aby mniej ospale reagowała na problemy wschodnią), ale informował o polskich pomysłach i inicjatywach gospodarczych, kulturalnych, politycznych, o sposobach wydobycia się z komunistycznej topieli, wreszcie o życiu religijnym i polskim Kościele, budując mosty porozumienia między nami a Litwą, Łotwą, Białorusią, Ukrainą, a także — co niezwykle ważne — wolną, suwerenną Rosją. Te mosty będą teraz szczególnie potrzebne. Lepiej, żeby toczył się przyjazny dialog — pro tych mostach — niż szereg...

JAN PROKOP

Czas zbezczeszczenia (I)

Józef Bau

Józef Bau wydał w Tel-Awiiw swoją książkę „Czas zbezczeszczenia. Wspomnienia z drugiej wojny światowej”. Poświęcił ją pamięci swojej Matki, Cyli Bau, zamordowanej w obozie Bergen-Belsen w 1945 roku, pamięci Ojca, Abrahama Baua, zamordowanego w obozie „Płaszów” w 1943 roku, pamięci Brata Izia (Ignacego Baua), zamordowanego w getcie krakowskim w 1943 roku — i wreszcie pamięci sześciu milionów Żydów, którzy zginęli razem z nimi.

Tę niezwykłą książkę J. Bau napisał po hebrajsku, sam z hebrajskiego przetłumaczył na język polski, wykonał okładkę, rysunki, układ graficzny, sam też złożył tekst.

„Nie jestem odpowiedzialny za treść, podyktowało ją życie” — napisał ręcznie na jednej z kart. Do książki dołączona jest poślówka kenkarta nr 07175 „fur den Juden — die Judin (dla Żyda—Żydówki)”, ze zdjęciem Jego Matki, Cylil.

Chcemy przedrukować kilka fragmentów „Czasu zbezczeszczenia”. Ten dramat rozgrywał się bardzo blisko nas: w krakowskim Płaszowie.

Moja młodość była okupem, który zapłaciłem historii za wątpliwy honor: być naocznym świadkiem najbardziej okrutnej epoki w dziejach narodu żydowskiego.

W dzisiejszych czasach opowiadania o obozach koncentracyjnych są podobne do recenzji z surrealistycznego filmu, zrealizowanego przez reżysera pozbawionego ludzkich uczuć, którego sadystryczne instynkty chcą rozszarpać nerwy miłośnikom kina. Czyż ja mogę zmusić sceptyków, aby uwierzyli w okropności hitlerowskie, kiedy ja sam nie jestem już w stanie uwierzyć, że te okropne wydarzenia rzeczywiście wydarzyły się.

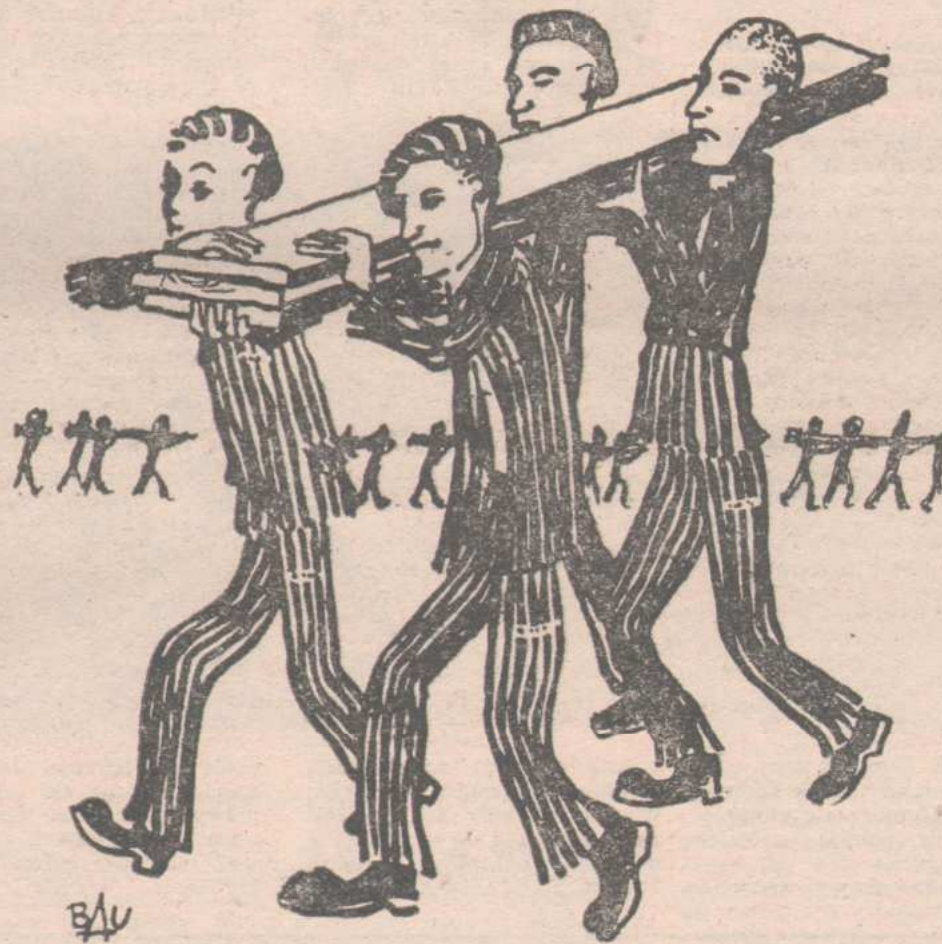
W LECIE 1942 PRZYSTĄPILI NIEMCY DO OSTATNIEGO ETAPU ROZWIĄZANIA KWESTII ŻYDOWSKIEJ. Żydzi byli już hermetycznie zamknięci w gettach, wszystkie ich prawa zostały im odebrane, zabrowany majątek przeszedł na własność Trzeciej Rzeszy, a kompletnie wyjałowione ich mózgi nie były już zdolne do samoobrony — i teraz postanowili Niemcy odebrać Żydom ostatnią ich własność — życie.

DO LIKWIDACJI ŻYDÓW KRAKOWSKICH WYBRALI FASZYŚCI BARDZO SYMBOLICZNE MIEJSCE — NOWY CMENTARZ ŻYDOWSKI W PŁASZOWIE. Ponad bramą do pierwszych baraków, zbudowanych w pośpiechu na świeżych grobach, umieszczono szyld-kamufaż: „Obóz pracy”. Na początku skromny obóz nie budził specjalnych podejrzeń... kilka baraków mieszkalnych, kuchnia, piekarnia, latryna i warsztaty przeznaczone do miejscowej obsługi, nie powodowały paniki. Ale kiedy Żydzi z całej okolicy wpadli w pułapkę, odsłonięto prawdziwą nazwę: „Konzentrationslager”. W szybkim tempie, dzięki przymusowej pracy zniewolonych obywateli, powstał do życia oryginalny obóz koncentracyjny z wszystkimi znamionami i z całym aparatem masowego mordowania. Obóz rozwałkował mury cmentarza żydowskiego i zaczął szybko zagarniać dodatkowe obszary — potężniał, rozprzestrzeniał się, polykał zasiane pola, wolne parcele i sąsiednie domy — urosł tak dalece, że długość jego zewnętrznej granicy osiągnęła cztery kilometry.

Obóz ten już nie istnieje dziś. Niemcy w panicznej ucieczce z Krakowa rozebrali i wywieźli z sobą wszystkie baraki. Zwłoki dziesiątek tysięcy pomordowanych zdążyli jeszcze wyciągnąć z masowych mogił i spalić. Kiedy po pokonaniu wojny, komitet obywatelski postawił obelisk na historycznym miejscu i cały obszar, z wyjątkiem uśmierconego cmentarza żydowskiego, wrócił do przedwojennych właścicieli... i okrutny „S.S. Konzentrationslager Krakau-Płaszów” został wymazany z powierzchni Ziemi — pozostał on tylko wryty we wspomnieniach jego ofiar. My „wychodźcy” Płaszowa, nie zapomnimy go, on już tak będzie siedział z nami — czy zechcemy czy też nie zechcemy — aż do zakończenia naszego niefortunnego bytowania na tym padole płaczu i cierpienia.

ABY URATOWAĆ PRZED ZAPOMNIENIEM TEGO MAKABRYCZNEGO POTWORA, którego pamięć wnet może zniknąć razem z nami, próbuję zrekonstruować model piekła, któremu na imię „Płaszów”. Dla uświadomienia przyszłych pokoleń, zlepiam razem wszystkie cząstki precyzyjnego aparatu do zagłady narodów, którego znakiem

firmowym była swastyka. Niniejszym mam zaszczyt zaprosić Ciebie, czytelniku, na pamiątkową wystawę, poświęconą ludziom niewinnie więzionym w obozie — tym, którzy zostawili w nim swoje kości i tym, którzy dźwigają w umęczonych duszach ich własny Płaszów. Oto rozpościeram przed tobą czy-



Rys. Józef Bau

telniku, „Mój Płaszów”, ten który zakorzenił się w moim mózgu, ten, który prawie co noc powraca do mnie w sennych widziadłach.

STOIMY PRZED GŁÓWNA BRAMA, zamkniętą opuszczoną rampą. Z prawej strony szyny kolejowe i dwa baraki, które były stacją. Stąd odchodziły „transporty” do pieców Oświęcimia, do fabryk w innych obozach koncentracyjnych, albo do zakładów przemysłowych, wyrabiających części maszyny okupacyjnej, która miała ułatwić Niemcom zdobycie władzy nad światem. Kiedy „kapo” słusarni dostał rozkaz zmontowania krat z drutu kołczastego do okiennych otworów w wagonach towarowych stojących na tej stacji, wiedzieliśmy, że zbliża się „akcja”. Wir szaleńczych wieści zaczął się przelewać między barakami... Do normalnej, codziennej trwogi, przyłączył się dodatkowo strach przed nowymi cierpieniami. Byliśmy już przyzwyczajeni do makabrycznej atmosfery Płaszowa, straciliśmy nadzieję, że zjawi się zbawiciel i przyniesie nam ratunek... chociażby częściowy. Wszyscy wiedzieli, że przeniesienie do nieznanego miejsca może jedynie spotęgować zło „domowe”. W obozie nie było zegarków i nie było kalendarzy, czas wibował się pomatu i bezimiennie. Pociągi ciężarowe, zala-

dowane ludźmi, wyjeżdżały w nieokreślonych dniach i w nieznanym kierunku... i nikt nie oczekiwał znaku życia od deportowanych, ponieważ druty kołczaste były zaporą nie do przebycia dla środków komunikacji.

Kiedy rozniosły się wieści, że wagony czekają na stacji, a ślusarze kratują otwory okienne — ludzie, którzy stawali się przedwcześnie, czernili sobie siwe włosy sadzą ze spalonego korka i nacierali blade i zapadłe policzki czerwonym papierkiem z opakowania cykori, aby ocalić duszę w czasie „selekcji”, cel uświatał środkami, posiadacze gotówki przepłacali slugusów i urzędników zatrudnionych u Niemców i zaszywali potajemnie złoto lub brylanty w butach, w podszewce lub wpychali je do odbytnicy. Fabrykacja wierzitelnych wiadomości i giełda protekcji, pracowały pełną parą. Ci ważni między uwięzionymi, opowiadali w sekrecie o tajnych rozporządzeniach związanych z „transportem”... każdy z nich wiedział na sto procent, co zamierzają Niemcy... ale każdy wiedział zupełnie coś innego. Członkowie nielicznych rodzin żegnali się bez rozczulenia, odpowiedzialnego do tego dramatycznego momentu, ponieważ już dawno w ich oczach wyschły gruczoły łzowe. Znak zapytania jak ogromny i jawowy ważył, okręcał się wokół ludzi, wytresowanych do cierpienia.

OTO GŁÓWNE WEJŚCIE, tędy przeszły tysiące nieszczęśliwców, trójkami, w szeregu, do taktu monotonnego tempa zachrypniętego „kapomana”: „Linksi! Linksi! Linksi! Linksi!” i przy akompaniamencie stuku drewnianych butów, Rampa podnosiła się ponad ogolonymi głowami niewinnych ludzkich stworzeń, których jedyny grzech był zaznaczony w ich kartotece znakiem hańby „Jude”. W owym czasie, w złotej epoce

całą skomplikowaną zaporę przeciwko ucieczce z labiryntu zbrodni, zbudowali więźniowie własnymi rękami, zmieszani przez specjalistów niemieckich, według genialnego planu, który udowodnił swoją użyteczność w bliźniaczych obozach.

MINELIŚMY BRAME... dziś nie przeleciał nas eseman, straszący bagnietem nasadzonym na luźną karabinu. Nikt nie szukał nam po kieszeniach ukrytego chleba lub cukru, a „kapo” nie wdzierał się bydlęcym rykiem: „Cwaj i cwancik heftlinge fon ballajtung”... oto znajdujemy się już na terenie, który należał kiedyś do prywatnej własności anioła-śmierci i jego wiernego pomocnika: „Waffen eses und policaiffirer”. Na ten teren nawet słońce bało się zerznąć. Znawcy twierdzili, że ono nie dostało „pasir-erlaibnis” wystawionego przez odpowiednie czynniki. Dziś władza przemocy już tu nie istnieje, idziemy wolni... ale w ciszy i z powagą należą miejscom uświęconym. Pod butami skrzypią kamyki. Spójrzcie, proszę, na te kamyki, przyłóżcie je do ucha — usłyszycie płacz kamieni... kiedy podniesiecie taki kamień, zobaczycie na dół kawałek marmuru — i jeżeli obrócić go między palcami, zauważycie, że nie jest to normalny kamień — wyrzyte są na nim hebrajskie litery... bowiem wszystkie drogi w obozie płaszowskim są zbudowane z rozbitych nagrobków. Teraz przechodzimy między dwoma bardzo ważnymi budynkami. Z prawej strony dom dwupiętrowy, zbudowany jeszcze przed wojną, w nim mieściło się biuro dyżurnego oficera, centrala telefoniczna i centrala radiowa, połączona z wszystkimi głośnikami. W czasie „akcji” nadawali stąd wesole piosenki i muzykę taneczną. 14 maja, w dniu sławnego wysiedlenia, w czasie wywożenia chorych i dzieci do pieców oświęcimskich, szwabski radiotechnik, który posiadał swoiste poczucie humoru nadawał stąd piosenkę niemieckich dzieci: „Dobranoc mamusiu”.

Z DRUGIEJ STRONY JEZDNI STOI BUDYNEK ZARZĄDU OBOZU, t.j. „komandantura”. Tu mieściło się biuro „komandira” Amona (demon) Goetha: spalonego i straszego potwora, ważącego ponad 150 kilogramów i wysokiego ponad dwa metry. Wieść o jego nadejściu wywoływała śmiertelne dreszcze, zimną blednicę i szczykanie zębów. Goeth zarządzał obozem w sposób tak okrutny, że przeciętny mózg ludzki nie jest w stanie tego pojąć. Posyłał swoje ofiary na drugi świat, stosując tortury, które przewyższały wszystkie patenty inkwizycji. Za każde, nawet białe przewinienie, bił w twarz, raz za razem i przyglądał się z sadystyczną przyjemnością, jak puchnie i sinieje policzki bezradnego nieszczęśliwca, jak mu zęby wypadają i jak mu oko wypływa. Człowiekowi biczowanemu, kazał głośno liczyć każdy cios bykowca, a jeżeli się pomylił, musiał zacząć liczenie od początku. W czasie „przesłuchania” w jego kancelarii, szczerł psa na „oskarżonego”, który wisiał przywiązany za nogi, do specjalnego haka w suficie. W razie ucieczki z obozu, ustawił w jednym rzędzie grupę dezertera, rozkazywał liczyć do dziesięciu... i każdego dziesiątego zabijał własnoręcznie. Podczas apelu, w obecności wszystkich łagrowców, zastrzelił Żyda, który według niego był za wysoki — i wyszczał się na konającego... potem krzyknął do stojącego obok: „Co, nie podoba ci się?” — i zastrzelił go także i wyszczał się na ciepłe zwłoki.

PEWNEGO RAZU ZŁAPANO ZGŁODNIAŁEGO CZŁOWIEKA, KTÓRY U KRADŁ ZIEMNIAKA Z MAGAZYNU — na rozkaz „komandira” ów „przebiegca” został powieszony na bramie obozu, w usta wsadzono mu ziemniaka, a na szyi powieszono szyldek: „Jestem złodziejem ziemniaków”. Gdy ujrzał chłopca chorego na dezynię, który nie mógł powstrzymać stolca, kazał mu zjeść te wszystkie jego wydzielinę — a kiedy zjadł, zastrzelił go.

Codziennie rano, po śniadaniu, które składało się z surowego mięsa zalanego świeżą krwią — spacerował „komandir” między barakami. Towarzyszyły mu dwa ogromne buldogi, które na jego rozkaz rozszarpały ludzi...

Po wizycie „komandira” krążyły po łagrze, wymawiane szepelem, wyniki strzeleckich zawodów: „Dwadzieścia — zero”, „Piętnaście — zero”, „Trzydzieści — zero”, „Zero” było zawsze z naszej strony. Można było zakatrupić potwornego „komandira”, ale w takim wypadku, wynik mógł być: „Jeden — Dwadzieścia cztery tysiące”.

(CDN)

Szmer z kąta

Jerzy Lohman

Współcześnie tym, którzy za kilkadziesiąt lat będą trudzić się nad odtworzeniem życia kulturalnego w Polsce w latach 1990—91 na podstawie publikacji w periodykach poświęconych kulturze lub jej problematykę uwzględniających. Nad Wisłą trwa bowiem walka polityczna, a wiadomo, że inter arma silent Musae. Wprawdzie nie loskot oręża słyszymy, lecz łajania i wszelkie zelżywości, solenne anatemy i akty strzeżenie, a jeśli coś zadźwięczy, to nie szpada, ale kadzielnica. Nie zmienia to faktu, iż o kulturze pisze się żenująco mało. Jej obecność w czasopiśmie jest proporcjonalna do miejsca, jakie zajmuje w zainteresowaniach społeczeństwa i władz oraz w tabelach budżetów.

Z perspektywy elity

Z racji redakcyjnych obowiązków systematycznie czytam ważniejsze ogólnopolskie tygodniki i miesięczniki. Wrażenie z tej lektury jest przygnębiające: kultura rysuje się jako sprawa usytuowana na marginesie głównego nurtu życia społecznego, ulegająca szybkiej degradacji i interesująca głównie własne środowisko profesjonalne. Czasopisma poświęcają niewiele miejsca problematyce kulturalnej, traktując ją bardzo wybiórczo. Często jest ona prezentowana w uwikłaniu z do- różną polityką: koryfeusze występują w roli partyzantów tej czy innej orientacji politycznej, nagłaśnia się zdarzenia artystyczne o wymowie politycznej. Piszących interesują głównie sprawy wysokiego lotu: polityka, ideologia, etos inteligencji i jej przyszłość (wciąż z uporem używa się pojęcia „inteligencja”, choć dziś naprawdę nie wiadomo, jakie środowiska i grupy zawodowe ma ono zawierać, albo co wspólnego ma np. prowincjonalna nauczycielka czy bibliotekarka ze stelecznym intelektualistą lub z rekinem biznesu pop kultury, a muzealnikiem z lekarzem albo inżynierem. Rozważanie przyszłości całej „inteligencji” wydaje się nonsensem — niepokój budzi jedynie los zawodów humanistycznych i artystycznych), „nosi się” kompleks winy, zniewolenie i ketman etc. Ponadto oczywiście własne życie wewnętrzne, uzewnętrzniane w niezliczonych wywiadach, środowiskowe komerażki elit i wspomnienia z niedawnej przeszłości (z ulubionym

wątkiem rozliczeniowym). Rzadziej spotkać można swoisty folklor polityczno-obyczajowy: tropienie splamionych, a także takich, co ubliżają naszym świętym Wartościom, pobłażając komunie, strasząc klerykalizmem, a w ogóle grymasząc, tj. z odzyskanej wolności nie cieszą się jak należy. I vice versa.

Słowem: nuda

Szmer z odległego kąta rzeczywistości. Więcej dowiadujemy się z recenzji, czasem z informacji o stanie poszczególnych dyscyplin artystycznych (w pismach specjalistycznych). Teksty te rysują groźny obraz. Teatr — przede wszystkim jego tradycyjne, instytucjonalne formy — jest w głębokim regresie. Twórczość literacka, zduszona podwójnym nelsonem praw rynku i kryzysu, daje słabe oznaki życia. Brak pieniędzy sprawia, że przyszłość filmu jest niejasna. Większość środowiska plastycznego (zresztą bardzo zróżnicowanego pod względem materialnym) lamentuje wniebogłose. Zdaje się, że stosunkowo najbezpieczniejsza jest sytuacja muzyki, przynajmniej na razie nie słychać alarmów z tamtej strony.

Proszę zauważyć, że wszystko to dotyczy tylko kultury artystycznej i jej środowisk

tryzm wydaje się ciężkim grzechem współczesnej prasy kulturalnej. Piszących jak gdyby nie interesowała sytuacja szeregowych wykonawców i pracowników kultury, nie mówiąc już o jej odbiorcach. Wyjątkiem są wydawnictwa i wydawcy, o których pisze się sporo. Może dlatego, że akurat od wydawnictw zależy kondycja pisarzy. Niewiele natomiast można się dowiedzieć o losie muzeów, bibliotek, księgarń, domów kultury, klubów, kin — zwłaszcza prowincjonalnych. Nie wiadomo także, jaka przyszłość czeka bardzo liczne regionalne towarzystwa kulturalne. Słychać, że ich perspektywy są marne, ale mało któremu z poważnych czasopism chce się wnikać w niewesołe szczegóły. Jeszcze mniej obchodzi je położenie konsumentów kultury: ich oczekiwania, aspiracje, wzorce, działania i frustracje. Prowincja i prowincjusze nie są dziś modni. A może nasi intelektualści sądzą, że nie ma już prowincji, skoro w odległych od stolicy regionach spotkać można mi- liarderów?

Prasa a życie (kulturalne)

W ybiórczość i elitaryzm w prezentowaniu problematyki kulturalnej różni jaskrawo prasę dzisiejszą od prasy z lat 1956/1957. Ow-

otwarcie na Zachód, wydawało się, że przed kulturą stoją niemal nieograniczone możliwości. Wywołało to autentyczną euforię ludzi kultury, niesłychanie wzrosło ich aktywność, owocowało mnóstwem inicjatyw (objawy, jakich dziś trudno się dopatrzeć). W tym ożywieniu prym wiodła prasa kulturalna. Jednym z głównych nurtów jej działalności było penetrowanie życia kulturalnego prowincji. Czytając teraz tamte gazety, możemy odtworzyć dokładny jego obraz i wszystkie problemy natury politycznej, ideowej, artystycznej, materialnej. Rola tych publikacji była ogromna — stymulowały wiele działań,

wielkie przemiany obyczajowe, rodzą się nowe środowiska, nową wzorce, nowy styl życia — wszystko to dotyczy szeroko pojętej kultury i jej przyszłości — a w prasie nic na ten temat, problem nie istnieje, wciąż tylko etos inteligencji, dylematy twórców, Miłosza wspomnianie totalitarnych oprymacji. Gdzie są pisma z tamtych lat?!

Będzie gorzej...

Sytuacja kultury w Polsce jest dziś zła. Przyznają to półgębkiem nawet najbardziej zagorzali apologety odzyskanej wolności. Jest zła nie tylko z powodu materialnej miserii, która to mizeria — nie ludźmy się —

ANDRZEJ OSEKA, redaktor „Kultury Niezależnej”, mówi „Rzeczypospolitej” po perypetiach miesięcznika: kiedy pismo ukazywało się w podziemiu, 3-tysięczny nakład był rozchwytywany, punkty zamawiały przeciętnie 120—150 egzemplarzy. Odkąd „ześląło” w 1988 i 1989 brały już tylko 80—90 sztuk. W tej chwili z 2-tysięcznego nakładu kolportaż „Ruchu” zwraca 1/3 nakładu. „W podziemiu było nam znacznie lepiej — konkluduje Oseka — mimo że groziły wpadki, wyroki, a i druk był małeńki. Działaliśmy w otoczeniu jednoznacznie nam sprzyjającym. Dziś działamy w otoczeniu znacznie bardziej obojętnym i łapczywym.

wspierały je, nagłaśniały. Kto wie, czy np. krakowska „Pionierka” nie przetrwała właśnie dzięki publicyści, jaka towarzyszyła jej od początku?

Publicystyka kulturalna tamtych lat nie ograniczała się — co bardzo ważne — do sfery kultury artystycznej. Wiele uwagi poświęcała opisom i analizom obyczajów (zwłaszcza młodzieży), kulturze życia codziennego, relacjom międzyludzkim itd. Dzisiaj cała ta sfera w pismach kulturalnych w

w najbliższym czasie będzie się pogłębiać. Jest zła dlatego, że w powszechnie uznawanej hierarchii wartości prestiż kultury jest dziś niższy niż był kiedykolwiek. Skończył się snobizm na kulturę i nic nie wskazuje, by w wymiernym czasie miał powrócić. Jest zła również dlatego, że niedobre jest życie ideowe i polityczne kraju — nieczytelne, przepojone irracjonalnymi emocjami, rodzące konflikty i wrogość między ludźmi, i coraz częściej usiłujące — jak kiedyś — podporządkować polityce odległe od niej sfery działań.

Żadna z wymienionych okoliczności nie zmieni się na lepszą w najbliższym czasie, a polityczne emocje i swary na pewno znacznie się nasila w oczekującej nas kampanii wyborczej. Rozkołysanych namiętności nie uciszy automatycznie wybór nowego Sejmu (vide: wybory prezydenckie), czeka nas więc raczej niespokojne życie polityczne.

W tej sytuacji osłabiona, lekceważona, niemal nie chciana kultura musi w miarę możliwości pełnić swą odwieczną rolę: łagodzić obyczaje. W swym arsenale środków ma instrument niebłahy: liczne czasopisma o szerokim zasięgu. Doświadczenia lat 1956/57 wykazują, że jest to siła zdolna wywierać istotny wpływ na kształt życia społecznego — właśnie w sferze szeroko pojętej kultury i obyczajowości. Na to jednak, by publicystyka kulturalna mogła dziś powtórzyć tamten sukces, musiałaby wyjść ze swego zacisznego, odległego kąca rzeczywistości.



twórczych. Prezentowany w periodykach wizerunek drzewa kultury ogranicza się głównie do kwiatów, pomija gałęzie, pień, korzenie.

Ten środowiskowy egocen-

czesna sytuacja do pewnego stopnia przypominała obecna: uzyskany wtedy zakres wolności wydawał się — po latach opresji — ogromny, cenzura bardzo zelżała, dokonano się

ogóle nie istnieje. Jej wyłączenie wydaje się całkowicie niewytłumaczalne. Społeczeństwo jest w sytuacji przejściowej, przeżywa ogromne przeobrażenia, wynikają z nich

Trudna obecność

Rozmowa z Bolesławem Taborskim

(C. D. ZE STR. 1)

już wrócił do kraju i był członkiem zespołu „Współczesności”, i czytałem m.in. zaangażowane politycznie wiersze, może też „Okulary”, które Pan wspomina, w dyskusji spotkałem się z zarzutami, że jakim prawem mieszkając za granicą krytykuję to, co się dzieje w Polsce. Cóż, na to mogłem jedynie odpowiedzieć, że skoro miałem na myśli emigrację, a odbierane to jest jako odnoszące się do kraju, to widocznie sprawy Polaków są wspólne, bez względu na podziały prawdziwe i wymyślone, które pomiędzy nami stworzono.

♦ Jak się zaczęła Pańska przygoda z przekładaniem na angielski utworów papieża?

— Dużo by o tym mówić. Ale w wielkim skrócie to było tak: wkrótce

po wyborze Karola Wojtyły udałem się do Rzymu m.in. w nadziei otrzymania w Wydawnictwie Watykańskim praw tłumaczenia na angielski Jego poezji, którą znałem z „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”. Ale okazało się, że prawa te otrzymał już Jerzy Pietrkiewicz, zaproponowano mi natomiast tłumaczenie dramatów. Z chęcią się zgodziłem, choć znalazłem tylko jedyny opublikowany dramat „Przed sklepem jubilera”. Komisja pism Karola Wojtyły wyznaczyła więc mnie ich tłumaczem. Tydzień później byłem już w Krakowie i rozpocząłem poszukiwanie rękopisów i maszynopisów po mieszkaniach Jego dawnych przyjaciół. Pomoc okazało mi też Wydawnictwo „Znak”, przygotowujące wydanie polskie. Niedługo potem mogłem zatem przystąpić do pracy.

♦ Jak Autor ocenia wynik, czyli same przekłady?

— Trudno powiedzieć, w rozmowach z Nim szczegółowo akurat tego nie poruszyliśmy, a zresztą rozmawialiśmy przed ukazaniem się amerykańskiego pełnego wydania, gdy wyszła jedynie sztuka „Przed sklepem jubilera”. Mam jednak egzemplarze tych wydań z Jego dedykacjami, które obejmują podziękowanie i „wyrazy wdzięczności”. Skądinąd wiem, że w kręgu współpracowników Autora przekłady oceniono dobrze. Największą radość sprawił mi odręczny list, który otrzymałem od Ojca Świętego po przesłaniu Mu mojej małej monografii o jego dramaturgii, wydanej przez KUL. Pisze tam, że „nie po raz pierwszy” moja „analiza stara się ujawnić wartości i prawdy”, którym On starał się służyć. A ta analiza, dodam, miała swe źródło w moich wstępach i redakcyjnym opracowaniu amerykańskiego wydania dramatów zebranych. Jestem więc bardzo zadowolony z reakcji mojego Autora, choć trzeba zrozumieć, że jako papież nie jest on zbyt skłonny do zajmowania się swoją dawną twórczością czy promowania jej w jakikolwiek sposób.

♦ A jak w związku z zachodzącymi zmianami ocenia Pan życie literackie Polaków poza krajem? Jakże zjawiska — poza ogólnie znanymi — godne są utrwalenia, przypomnienia?

— Szczerze mówiąc, nie zajmuję się tym wiele. Uważam, że dziś już nie może być mowy o dzieleniu literatury polskiej na krajową i emigracyjną. To, co najcenniejsze na emigracji zostało już bez reszty przyswojone w Polsce (choćby twórczość Gombrowicza czy Miłosza — chyba ich miał Pan przede wszystkim na myśli, mówiąc o zjawiskach ogólnie znanych), a teraz w szybkim tempie odrabiane są inne braki: wydaje się pisarzy, którzy przedtem nie mogli czy nie chcieli być w kraju wydawani. Nie będę tu Panu podawał katalogu nazwisk i tytułów jeszcze brakujących, pod tym względem sytuacja jest dynamiczna. Żyjący zgłoszą się sami, o zmarłych upomni się coraz liczniejsze grono świetnych historyków literatury i polonistów, penetrujących obszary tej literatury polskiej, która od czasu drugiej wojny światowej powstała poza krajem. Nb. w marcu br. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich organizuje w Warszawie spotkanie pisarzy zamieszkałych w kraju i za granicą, na którym — mam nadzieję — poczynione zostaną dalsze kroki w celu zespolenia niepodzielnej przecież polskiej literatury. Z tą myślą tam się udaję.

(Skróty i tytuł całości pochodzą od redakcji)

Krakowska hańba domowa

Robi się coraz nieprzyjemniej. Dotyczy to wielu dziedzin życia, gdzie obskurantyzm, nietolerancja i prymitywna zawiść zaczynają niebezpiecznie przybierać na sile. Kultura jest dziedziną zapewne nie bardziej wystawioną na działanie złych mocy niż inne obszary życia społecznego, ale właśnie w kulturze wszystko ujawnia się głębiej i widoczniej. Jest to tym boleśniej, że bodaj jednej kultury nie zmarnowaliśmy ze szczerem w ciągu czterdziestolecia PRL.

Ochrona wartości ewidentnych, na przykład fachowości i skuteczności, powinna więc być zadaniem zgoła elementarnym. Tymczasem rośnie bezmyślne marnotrawstwo, jakbyśmy doprawdy cierpieli na nadmiar ludzi utalentowanych i kompetentnych. Przykład nie pierwszy i zapewne, niestety, nie ostatni: oto wewnętrzne rozgrywki personalne, dodatkowo pobudzone nowym układem politycznym, doprowadziły do złożenia przez Kazimierza Kutza dymisji ze stanowiska dyrektora Krakowskiego Ośrodka TV.

Nie trzeba przypominać, kim jest Kazimierz Kutz i jakie są jego zasługi dla polskiej kultury i sztuki. Nie trzeba też wiele wyobrazić, by właściwie ocenić działalność prowadzącą do odejścia kogoś takiego. Kolejna, po aferach prezydenckich, krakowska hańba domowa.

Jerzy BINCZYCKI, Tadeusz BRADECKI, Anna DYMNA, Jerzy DOROWICZ, Krzysztof GŁOSZ, Jerzy GOLIŃSKI, Mikołaj GRABOWSKI, Tadeusz HUK, Julian KORNHAUSER, Stanisław LEM, Henryk MARKIEWICZ, Jerzy NOWOSIELSKI, Tadeusz NYCZEK, Wojciech PLEWIŃSKI, Stanisław RADWAN, Jerzy STUHR, Jan SZANCENBACH, Wisława SZYMBORSKA, Jerzy TRELA.

KONKURS POETYCKI

Wydział Edukacji Urzędu Miejskiego w Tarnowskich Górach ogłasza ogólnopolski konkurs poetycki. Warunkiem wzięcia udziału w konkursie jest nadesłanie 3 utworów na dowolny temat, opatrzonego godłem + koperta z danymi personalnymi.

Termin nadsyłania prac mija 15 kwietnia 1991. Suma nagród: 1.500.000 zł.

Wydział Edukacji
Urząd Miejski
ul. Sienkiewicza 2
42-600 Tarnowskie Góry

NOWOŚĆ

WYDAWNICTWA ZNAK

Konstanty Jeleński

SZKICE

Wybór: Wojciech Karpiński

Pierwszy w oficjalnym obiegu zbiór szkiców zmarłego niedawno jednego z najwybitniejszych emigracyjnych esesistów i krytyków literackich, wieloletniego współpracownika paryskiej „Kultury”. Teksty poświęcone twórczości Gombrowicza, Miłosza, Wierzyńskiego, Czapkowskiego, Lebensteina i innych; wszystkie pochodzą z tomu ZBIĘGI OKOLICZNOŚCI.

str. 254, broszura,
cena detal. 15 500 zł.

PARYSKIE VANITAS

Tadeusz Chrzanowski

Pierwsza połowa grudnia 1990 r.: Paryż w sławie i chwale słońca wyjątkowo czystego, bo chłodnego i trochę tylko przefiltrowanego przez tutejszy blady błękit impresjonistów. Jeszcze wciąż nie ma zimy, więc schludni robotnicy w zdumiewająco czystych „ferszálunkach” ustawiając skwerki choinek oblepiają im gałązki sztucznym szronem. I wszystko zgodnie połyskuje: perspektywa Champs Elysee, samochody, syntetyczne szrony, witryny i nawet tłum przesuwający się wzdłuż tych witryn.

Korzystając z nadarzającej się okazji pozostałem, po konferencji w Strasburgu, na kilka dni w tym ślicznym mieście, u gościnnej Hanki i gonię po mieście: zdążyłem już sprawdzić piramidę w Luwrze, odwiedzić wspaniałą i historycznie ponury zamek w Vincennes, pokłonić się Wielkiemu Lukowi na Défence, której w ogóle jestem zdeklarowanym wielbicielem. Gorzej z wystawami.

W Grand Palais dwie duże ekspozycje

...nieznana kolekcja późnego Picassa i wielki przegląd malarstwa Simon Voueta. Na pierwszą nie poszedłem, gdyż uznaję Picassa za giganta sztuki XX wieku, osobicie nie lubię jego malarstwa. I to zwłaszcza tego późnego. A co — nie wolno? Któż mi zabroni mieć własny gust? Jest demokracja czy jej nie ma? Przed dwoma laty obejrzałem w Centre Pompidou wielką wystawę pt. *Le dernier Picasso (Ostatni Picasso)* — był to przegląd twórczości ostatnich 10 lat mistrza. I wyszedłem z tej ekshibicji (tak, tak to należałoby nazwać) zniechęcony. Po pierwsze dlatego, że staruszek zawierzał do ostatka swej technicznej wirtuozerii, gdy tymczasem pędził i szpachla rozmaicie sobie poczynali i niechlujności w tych obrazach było mało. A po drugie, bo staruszek nie potrafił opanować (a może właśnie chciał epatować) swej staruszkowatej obsesji rajów utraconych: nic tylko akty, a właściwie waginalne martwe natury kobiet, u których wszystko poza TYM przestało się liczyć.

Na Simon Vouet poszedłem i trochę żal mi poświęconych na tę wystawę franków. Nie żeby to było złe, żeby nie było ważne — ale jednak głównie dla Francuzów oraz dla fachowców. W zamiarze była to bowiem rewaloryzacja malarza, o którym historia sztuki nie zapomniała, ale też się od dawna nie dopominała i trzeba było zweryfikować, dlaczego w I połowie XVII w. dominował w dworskim malarstwie artysta, który nawet wygrał konkurs o przywództwo Akademii z samym Poussinem, który w międzyczasie w historii sztuki wyrósł na mocarza.

Okazuje się, że Vouet to był majster pierwszej klasy: jego wielkie płótna przeznaczone do ołtarzy i do pałaców, z równą wirtuozerią traktujące ekstazę religijną co mitologiczno-erotyczną, są naprawdę malowane z nieomylnością i swadą. A jednak?

Także przed dwoma laty i w tych samych salach oglądałem wystawę Francisco de Zurbarana i porównanie narzuca się samo: to samo majsterstwo techniczne, ta sama fascynacja ekstazą duchową i cielesną, a jednocześnie

dwaj najzupełniej różne światy,

w których Hiszpan osiąga to, na co czasu czy talentu nie stało Francuzowi — buduje świat tak całkowicie własny, że nie może być pomyłki: nie będąc konserwem rozpoznajesz artystę w jego dziele. Świat podniosłej szarości kartuskich mnichów, świat świętych męczenników, oślepiających pięknych i strojnych, które z nieprawdopodobną kokieterią ukazują trzymane na pozłocistych tacach swe najcenniejsze precjoza: wydarte oczy (św. Lucia) lub dziewczęco-jędrne odcięte piersi (św. Agata).

Tu kryje się niepojęta i niezgłębiona tajemnica sztuki: można być wirtuozem najpierwszej rangi, jak Simon Vouet, pierwszy francuski pompier, a nie odnaleźć tego, co w sztuce jednak liczy się najbardziej: własnego głosu, własnego spojrzenia, własnego świata. I może wyjechałbym z Paryża zniechęcony, że w mieście-światle nie znalazłem żadnej godnej uwagi wystawy. Na szczęście znalazłem i to vis-à-vis Grand Palais: w Petit Palais.

Jego tytuł: *Vanitas w malarstwie XVII wieku*, a dedykowano ją niedawno zmarłemu doskonałemu historykowi sztuki: André Chastelowi. Sama wystawa tradycyjna, w koncepcji, naniżana na jeden wątek tematyczny, a co więcej gromadząca obrazy różnego poziomu: bardzo dobre, dobre i całkiem średnie. Arcydzieł ani knotów nie uświadczysz. Można więc było myśleć, że to wystawa przede wszystkim dla fachowców i to tych z ikonologicznym zbeczeniem. Tymczasem zwiedzających multum i widać, że przyglądali się obrazom, a nie tylko nawiedzili lokal. Wydaje mi się to dobrym znakiem: zainteresowanie solidnym, materialnym (choć podszytym symbolem i alegorią) malarstwem wyrosło na błakających się po bezdrożach abstrakcji awangardach.

Ludzie mają dość wydziwiania,

a jeżeli już go pragną, to życzą sobie intelektualnego raczej niż gadzietowego. No i wreszcie — temat wybrany świetnie — o czymże tu bowiem myśleć o zachodzie drugiego tysiąclecia, jak nie o przemianach, o znikomości, o pozorze wspaniałości, którą zdobywamy z zapartym tchem i w nieładnym znoju tylko po to, by zdobywszy zaraz ze sztywniejących rąk wypuścić.

Vanitas — przemijanie, znikomość, marność doczesności

— to w pewnym sensie leitmotiv dziejów: to fala powracająca refleksji nad tym, co najbardziej ludzkie, czyli śmiertelne, gdyż jak powiada pewien mało znany poeta sarmacki:

*Ten koniec bywa grzesznych krotofili:
Dziś radość, jutro płacz i śmierć po chwili.*

Renesans tylko udawał, że się przemianom sprzeciwia, że go nie dostrzega, dufał, że mu Pani Sława wieczność doczesną zagwarantuje, ale już epoka potrydencka, a zwłaszcza epoka wielkich spazmów historii w XVII wieku (wojna trzydziestoletnia, u nas wszystkie wojny kozackie, tureckie i „potop”) przywróciła myśl o znikomości, a nawet więcej: wzbudziła istną psychozę lęku i fascynacji.

Najwięcej miejsca na paryskiej wystawie zajmowały martwe natury. To tylko na pozór brzmi paradoksalnie, bowiem te malarskie wystawy i witryny dóbr doczesnych zdają się w pierwszej chwili świadectwem upojenia życiem, a przede wszystkim sutością. Faktem jest jednak, że już sama nazwa gatunku wskazuje na pokrewieństwo ze śmiercią — bo stąd właśnie

Martwa natura

Można by powiedzieć, że zarazem co kraj i co naród, to specyfika owych martwych natur. Bo jeśli flamandzkie, to aż puchnące od nadmiaru: zwały, polkie, przymy, ptactwo żywe i martwe, więc pióropusze, ryby wszelakie, więc śliśkość łusek i pięt, ale przede wszystkim mięsa, zupełnie jakby to polscy kolejkowicze z lat 80. malowali swe „sny o potędze”. Za to za miedzą — w Holandii — wystawna wstrzemięźliwość: szczególnie tam w cenie kryształowe i srebrne naczynia, a pośród tego owe ledwie dostrzegalne atrybuty przemijania: cybuszek, przewrócona lub wręcz rozbita szklanka, kości do gry. Jeszcze większy kontrast tamtych martwych natur z francuskimi, a także hiszpańskimi „bodegami”, gdzie za całość starej kilka zaledwie przedmiotów: naczynie — lecz nie wystawne, kuchenne, ale też połyskliwe, gomółka sera, bułka, chleb, kilka owoców. Mistrzem w tej dziedzinie był Charadin (na wystawie w Petit Palais obrazów jego oczywiście nie było — nie ta epoka) i jeśli się na jego martwe natury patrzy, to rozumie się, że Cézanne musiał się tu, w tym kraju urodzić, gdzie już tak dawno wiadano, że przedmiot to nie tylko przedmiot, ale także jakaś forma geometrii usłownie wplątanej w tryb naszego żywota. Albo Włosi w ich docieklivosti graniczącej z metafizycznym odbiorem rzeczywistości. W mediolańskiej Ambrozzanie jest ta słynna martwa natura Caravaggia, na której — w koszu owoców — malarz oddał porażone przez jakiegoś owada jabłko. Jabłko jeszcze w całej krasie dojrzałości, ale już maciupęńki otworek otaczać zaczyna brązowa, gnijna aureola vanitas.

Na paryskiej wystawie zabrakło mi tego mojego ulubionego portretu J. O. Pani Katarzyny z Kretkowskich Firlejowej, co owdowiawszy postanowiła wybrać zakonną drogę wyrzeczeń i poleciała to odmalować średnio-sprawnemu konterfeciście sarmackiemu: więc wokół lady cała galeria atrybutów przemijania, beznadziej i nadziei, a do tego jeszcze naiwne gesty i to „mazowieckie” spojrzenie ku niebiosom, które uczeni Niemiecocy nazywają: himmelnd.

Więc piętrzyły się w paryskim Petit Palais całe kolekcje martwych natur, a zawsze z czymś co wśród urody rzeczy przypomina

o brzydocie przemijania

Przed wszystkim więc czaszki, często nobilitowane do rangi objet d'art, choć po prawdzie to raczej ma inny, nieznanym niemal staropolski wierszopis:

*Tak żem została gomolą,
Zadną, brzydką, nędzną, gołą.
Toć prawdziwa historyja,
Będiesz takim, jako i ja.*

Oczywiście jest wiele innych jeszcze atrybutów Pani Vanitas: klepsydra, bańka mydlana itd., ale nie zdawałem sobie dotychczas sprawy z tego, jak doskonale podatnym wątkiem jest księga i rulon dokumentu czy mapy. Więć pełno było obrazów, których głównym tematem były księgi, stare, pożółkłe, z narożami kart od zczytania zwijającymi się jak wędzące liście. Więć równy i obojętny dukt pisma, więc ozdobne, smakowite grawiury, więc i pełne zakrzepłej dostojności woskowe pieczęcie — wszystko to zmusza nas do myślenia o tym, że przemijamy cali, całkowicie cali, że nawet nasze myśli, które śmieliśmy uważać za nieśmiertelne, obumierają także w zatrzaśniętych, nie czytanych księgach. Napisało o tuzin uczonych rozpraw o książkach jako symbolu humanizmu czy uczoności. Ale czy jest jakowaś praca o książce, jako symbolu przemijania?

Dalsze segmenty wystawy były już mniej pasjonujące zbyt linearnie zestawieni pustelnicy i ryżowo-puchne pokutujące św. Marie Magdaleny (tesknota baroku do rozpusty skruszonej, nieobca i naszej epoce). Oczekiwałem więc, że na samym końcu zastanę mroczną, lekko uchyloną bramę, nad którą oczekiwać mnie będzie purpurowa inskrypcja: „Porzuć wszelką nadzieję”. Ale bramy nie było, nie było w ogóle nic, co by spointowało owe paryskie vanitas i powróciwszy drogą, którą tu przybyłem, znalazłem się znów na ulicy, co się srebrnymi poblaskami śpieszyła na perspektywę mostu Cara Aleksandra III.

Wieczorem, już po ważniejszych wiadomościach dziennika telewizyjnego pokazano dwóch pretendentów do polskiej prezydentury i odczułem pewnego rodzaju satysfakcję, że — skoro w drugiej turze zagraniczni Polacy już nie głosowali, ominął mnie więc iście hamletyczny dylemat: iść czy nie iść. Ale tu objawiła się Opatrzność w postaci srogiego lumbaga, które mnie z nog ściągnęło i w lożnicę cisnęło, bym się już więcej po próżnicy po tej bywszej stolicy świata i sztuki nie plątał, a głupich dywagacji nie rozsnuwał. Niemniej i w lożnicy dumiałem o tym, co już zdążyłem obejrzeć. I nic nowego nie wydumiałem, tylko że zawsze i wszędzie ten jeden mamy wybór, czyli nie wybór lecz obowiązek wyborczy: marność nad marnościami i wszystko marnością. Ave atque vale miły i wciąż jeszcze wśród vanitasów — naszych rodzimych — brykający czytelniku.

*Niestate dobra! O stokroć szczęśliwy,
Który tych cieniów we-as zna kształt prawd boy.*

Requiem dla katyńskiej wdowy

Eugenia Prokop-Janiec

Naprzd postawmy kwestię teoretycznie: czy w ogóle możliwe jest napisanie — by tak rzec — katyńskiego romansu? Powieści, w której martyrologiczny wątek katyński spletałby się z historią miłosną? Odpowiedź wydawać by się mogła na pierwszy rzut oka raczej oczywista: patriotyczne i martyrologiczne romanse to bez mała specjalność polskiej literatury. Cóż jednak po najbardziej przekonującej teorii, gdy pierwszy prawdziwy katyński romans — Requiem dla pani Tosia Piotra Guzgo — okazuje się powieścią nieudaną, czym bezdłotnie podważa oczywistość naszych pospiesznych rozstrzygnięć?

Zatem: skoro katyński romans wydaje się hipotetycznie możliwy, dlaczego się jednak Guzgo nie udał? Nie wyszedł przecież spod pióra debiutanta. Autor, mało wprowadzając znany w kraju, ale uhonorowany prestiżowymi emigracyjnymi nagrodami literackimi („Kultury” i „Wiadomości”), osiadł w Anglii prozaik ma w swym dorobku kilka powieści, wydanych zarówno przed opuszczeniem Polski (Następny odchodzi o 22.25, Nocny rzut, Cienie na gwiazdach, Wenus z brązu), jak i napisanych już po wyjeździe na Zachód (Krótki żywot bohatera pozytywnego, Stan wyjątkowy). Parafrazując genologiczny pomysł Stanisława Barańczaka, odkrywcy „powieści milicyjnej”, obwołał by należało Guzgo twórcą „powieści ubeckiej”. Jego zasługi w tym względzie są tym większe, że gatunek, o którym mowa, uprawiał w dwu wariantach. (Szkoda, że o fakcie tym zapomniał w swym leksykonie polskiej literatury emigracyjnej Jan Zieliński...) Starszy — socrealistyczny — model reprezentują wydane przez wydawnictwo MON w połowie lat pięćdziesiątych historie, w których dobry lud buduje socjalizm, w czym przeszkodzić mu usiłują szpiegdy i sabotażyści, rekrutujący się często ze środowisk akowskich lub emigracyjno-kombatanckich, zdemoralizowanych do cna życiem na obczyźnie. Siły ludu i skusności ucieleśniają służby bezpieczeństwa i nie dziwnego, że wstępujący dzięki ich pomocy na ścieżkę cnoty bohaterowie konstatają: „Więc tak wygląda bezpieczeństwo przy pracy. Nawet miły gość...” Lub: „Jakis ludzki facet”. (Następny odchodzi o 22.25). Młodszy, emigracyjny wariant „powieści

ubeckiej” jest — mimo pozorów zerwania z tym kanonem — jego kontynuacją. Kontynuacją — poprzez budowanie antymodelu, antywzorca, „negatywu” poprzedniej konstrukcji. Pożytki płynące z takiej taktyki są niebagatelne: pozwalają autorowi na poruszanie się w świecie oswojonym już przez wyobraźnię, oferuje ona radykalną zmianę ideologicznego „frontu”. „Ludzkiego” ubecka — niedoszłego artystę (postać Skiby z Następny odchodzi...) zastąpi więc ubek cynik, okrutnik i psychopata (Ostuda — Krótki żywot bohatera pozytywnego), zamiast zdemoralizowanych akowców — pojawiają się bohaterowie walki podziemnej, logiczny porządek precyzyjnie konstruowanej akcji sensacyjnej wyrugowany zostanie przez chaotyczny przepływ obrazów w monologu wewnętrznym postaci. Rozprzega się do szczytu racjonalny ład świata: losy ludzi zależą teraz od sił przypadku, ślepego trafu, wreszcie — ciemnego destrukcyjnego erotyzmu. Zanika dyktando autora, wznoszącego misterną budowlę zdarzeń przejrzyście ze sobą powiazanych, z perspektywy bohaterów wszystko rysuje się mglisto i niejednoznacznie...

Literackie doświadczenia, o których mowa, zaowocowały w ostatniej książce Guzgo. Zwięzła realistyczna relacja przepłataną monologami wewnętrznymi, partie

„protokolarne” na przemian ze strumieniem wrażeń, wspomnień, refleksji służą opowiedzeniu historii trzydziestoparoletniej urzędniczej emigracyjnej instytucji wojskowej, ukrytej za szyldem londyńskiego Ośrodka Badań Spraw Polskich. Rozgrywane wedle miłośno-spiegowskiego schematu zdarzenia kilku miesięcy 1949 roku, są punktem wyjścia dla przywołania faktów przeszłych: ciężenie minionego okazuje się przemożne w dziejach bohaterki, „osoby kulturalnej z uniwersyteckim wykształceniem, z porządnej mieszczańskiej rodziny, prapradziadki ojca walczył w powstaniu styczniowym”. Jej nieudany — zakończony w finale powieści samobójczą śmiercią — romans z biurowym kolegą, dawnym cichociemnym, to ostatnia próba ucieczki od demonów przeszłości, od ciemnych snów, złych wspomnień, kompleksu winy. Ten ostatni — wiąże się z zamordowanym w Katyniu mężem, zdradzonym w przededniu wojny... Była gimnazjalna nauczycielka historii, Tosia Jadwent, pojmując wojenną zbrodnię jako rodzaj kary za grzech cudzołóstwa: „Jerzy musiał zginąć w Katyniu, a nie gdzie indziej, żeby ona bardziej odczuła tę śmierć, jej potworność, a przez to również ohydę własnego wiarołomstwa”.

W ten oto sposób dokonuje się w powieści Guzgo — że użyjemy tu słów Gombrowicza — „pomieszenie płci z Oj-

czyzną”. Pomieszenie — jak zwykle — zgubne w skutkach, widocznych na różnych piętrach powieści. Bodaiby dotknęło ono wyłącznie bohaterów, którym autor wygłasza każde takie oto psychoanalityczno-patriotyczne tyrady: „O, Tosiu, twoja obsesja, ja to tak widzę, polega na tym, że przymierzasz swoją winę do tego, co dla nas Polaków reprezentuje Katyń. Mówiąc celowo z patosem, to jest nasza polska Golgota. Miejsce święte, nasycone krwią kilkudziesięciu tysięcy bestialsko zamordowanych naszych braci. Mężczynek i Uświęconych ofiarą życia złożoną na ołtarzu Ojczyzny. Każdy z koroną cierniową na głowie. I wśród nich jest twój mąż. Człowiek, przeciwko któremu zgrzeszyłaś najcięższym w twoim pojęciu, najbardziej zastugującym na piekło grzechem. Również z koroną cierniową na głowie. Człowiek, który stanowi część naszej polskiej Golgoty. W twoim przeświadczeniu, Tosiu, tyś popełniła świętokradztwo. Zgrzeszyłaś przeciwko Ojczyźnie, przeciwko umęczonemu w Katyniu Polce”. Oto doskonała kompozycja, wznieśiona ze stereotypów polskich: Ojczyzna, ofiara, męczennicy, Golgota, korona cierniowa etc. Oto przykład, że od narodowego sacrum — krok tylko ku historiom miłosnym...

Na nic wszakże wysiłki, by zasugerować, że autor sam dystansuje się względem takiego stylu myślenia i optuje za mniej bogoojczyńnianym wyjaśnieniem kompleksu bohaterki. Cóż z tego, że podsuwa freudowski klucz (traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, chorobliwa pruderia katolickiej rodziny) skoro na „pomieszeniu płci z Oj-

czyzną” opiera się cała powieściowa konstrukcja? Najfatalniejszą tego konsekwencją jest irytujący brak poręczeń w przedstawianiu zdarzeń. Czym bowiem, jak nie takim zasadniczym błędem perspektywy, tłumaczyć fakt, że blaha wakacyjna przygoda wyniesiona zostaje do godności węzła tragicznego, historia poczytana za „los polski” a fatum historii pomieszone z erotyzmem? Odnosi się przy tym nieodparte wrażenie, że pisarz nie był do końca zdecydowany czy idzie mu o pikantny romans (śmiało sceny miłosne, ba — przedstawienie gwałtu), czy o rzecz o losie, nad którym zaciążyły dzieje (kazachstański kolchoz, armia Andersa, Londyn emigracyjny), czy może o obraz polskiego życia na Zachodzie niedługo po wojnie (polski ośrodek wojskowy, knowania komunistycznych agentów, próby szantażu etc.) Powieść zamienia się w bitewne pole, na którym walczą o lepsze różne autorskie zamiary i rozmaite konwencje fabularne. W rezultacie otrzymujemy literackie potpourri. Jakby nie wystarczało zrzucenie na barki bohaterki kompleksu „katyńskiej wdowy” i miłosnej kłębki, obarczył ją jeszcze trzeba konieczność winą opuszczenia w Kazachstanie starych i bezradnych rodziców i odpowiedzialnością za represje, dotykające pozostałą w kraju rodzinę, represje — będące zemstą służb bezpieczeństwa bezskutecznie starających się zmusić emigrantkę do szpiegowskiej współpracy... Niepowodzeniem kończą się próby zsyżcia nie przystających do siebie klisz, ulepienie z rozpiętych wątków psychologicznego studium sui generis patriotyczno-erotycznej nerwicy. Nie przekonują duszoznaczące analizy, nużą banalne, schematyczne opisy blahych, nie wających w przebiegu akcji czynności. Cemu bowiem służyć może „odrobiona” z zabójczą starannością taka oto scena: „Dokładnie wyciera ręce ręcznikiem z automatu. Potem je wacha, otwiera buteleczkę perfum, zatyka palcem, przewraca i tak umoczonym palcem dotyka dotka między pierściami, także za uszami i po wewnętrznej stronie przegubów, wreszcie strząsa wprost z buteleczki troszeczkę na dłoń i rozciera jak mydło”. Brnącemu przez karty powieści czytelnikowi trudno wywołać się od uczucia, że tonie wśród patriotycznych stereotypów, literackich klisz czy wreszcie — językowego banału... I jakże żądać, by pośród tego wszystkiego czysto zabrzmiało — requiem dla katyńskiej wdowy?

PIOTR GUZY: Requiem dla pani Tosia „Aneks”. Londyn 1990

Uważaj na swych przeciwników, bo oni pierwsi odkryją twoje wady.
Antystenes

Starczy lubią dawać dobre rady, aby się pocieszyć, że nie są już zdolni dawać złych przykładów.
La Rochefoucauld

Uważamy za rozsądnych jedynie tych, którzy są naszego zdania.
La Rochefoucauld

Sens słowa „entuzjazm” u Greków osiąga swą najpełniejszą definicję: oznacza „Bóg w nas”.
Madame de Staël

Gdzie kończy się prawo, zaczyna się tyrania.
William Pitt

W niczym charakter nie przejawia się tak wyraźnie jak w tym, co człowiek uważa za śmieszne.
Goethe

Przekonanie, że myśl można w sposób doskonały i dokładny wyrazić poprzez symbole słowne — jest idiotyczne.
A. N. Whitehead

Wielki pożytek słów płynie stąd, że ukrywają nasze myśli.
Voltaire

Twarze marca

Maciej Urbanowski

Literatura komentująca bieżące czy niedawne wydarzenia polityczne narażona bywa na zarzuty ulegania publicystycznej doraźności, powierzchowności czy schematyzmu. Czytana po latach często nuży, czasem irytuje. Tak stało się z częścią tzw. literatury stanu wojennego. Podobnych zarzutów jednak zapewne nie podniesie czytelnik trzech opowiadań Józefa Hena z tomu „Okno Dajana”.

po raz pierwszy udostępnionych czytelnikowi krajowemu przez „Iskry”. Utwory te Hen napisał pod świeżym wrażeniem wydarzeń Marca 1968 roku i opublikował pod pseudonimem w paryskiej „Kulturze”. Ich geneza tkwiła zapewne po części w potrzebie wyrażenia protestu, chęci skomentowania niedawnej historii, ale też w nieufności wobec przyszłego historyka, który zafajszuje istotę dramatu Marca.

Jeden z bohaterów książki Hen na powie: „Dokumenty historyczne można zafajszować i dowolnie wyinterpretować. Ale opowieść napisana na gorąco odda rzecz nie do podrobienia: atmosferę, nastroje. Stan upadlenia i przygnębienia, w którym żyjemy.” „Okno Dajana” nie jest więc literacką kroniką wydarzeń sprzed 23 lat. Nie opisuje studenckich strajków, aresztowań, wieców rozbijanych przez milicję. Bohaterem opowiadań Hena jest Marzec antysemickiej hańby, „rasizmu z ludzką twarzą”, przymusowej emigracji i zwolnień z pracy za niewłaściwe pochodzenie. Pisarza intrygują ludzkie postawy tego okresu. Trzy opowiadania tomu są portretami psychologicznymi głównych bohaterów i w pewnym sensie społeczeństwa polskiego, jego reakcji na antysemityzm i totalizm. Hen przenikliwie opisuje uczestników dramatu. Jedną z ról głównych odgrywa Cham — przemawiający z

televizora dygnitarz partyjny, wazehobecny szpicel, karierowicz Dłubak. W tle milczący, przestraszony czy zawstydzony tłum. Wreszcie ci, którzy są ofiarami — emigrujący Łapińscy. wyrzuceni z pracy Dominik, Brzozowski, a gdzieś na boku uciekający w szaleństwo Peiper. Hen przenikliwie ukazuje to, co w Marcu było wielkie i to co było podłe. Absurd, głupota, farsa są wciąż obecne w książce. Jakże tragiczna jest historia urzędnika Brzozowskiego z tytułowego opowiadania. Stąd też wynika poczucie samotności, nawet niewiary wśród tych, którzy powiedzieli „nie”, świadomych gorzkiej prawdy, że „(...) coś znaczy dramat garstki ludzi. W historii panują raczej prawa wielkich liczb. Dramat, na domiar wcale nie krwawy (...) Jesteśmy bardziej obrażeni niż prześladowani, bardziej wyszydzeni niż bici (...) Ci, którzy w naszym dramacie nie uczestniczą bronią się przed nim o-

bojętnością, a jeśli są zbyt blisko, żeby się uchylić od swojego zdania, konstruują akt oskarżenia przeciw prześladowanym.” Tym większy też heroizm tych, którzy nie byli obojętni. W najlepszym może opowiadaniu tomu „Westernie”. Dominik sprzeciwia się uchwałom partyjnej, popierającej hańbę na miarę Targowicy. Pozbawiony pracy, opuszczony przez rodzinę, staje do niezwykłego i szalonego pojedynku z milczącym społeczeństwem. Jego bronią staje się żółta opaska na rękawie.

Niewiele mamy w naszej literaturze współczesnej tak interesujących i przenikliwych obrazów niedawnej historii. W czasie dyskusji o problemie antysemityzmu „Okno Dajana” zyskuje swoim obiektywizmem dodatkowy walor.

JÓZEF HEN: „Okno Dajana”. Iskry, Warszawa 1990

Milczące sejfy Szwajcarii

Jean Ziegler

Jean Ziegler, ur. w 1936 r. Profesor socjologii na Uniwersytecie oraz w Instytucie Rozwoju w Genewie (Institut d'études du développement). Doradca państwowy (poseł) w Parlamencie Konfederacji Szwajcarskiej. Autor wielu prac na temat krajów Trzeciego Świata.

Z głośnej na Zachodzie książki J. Zieglera „Narkodolary” drukujemy część dotyczącą tzw. prania brudnych pieniędzy w Szwajcarii. Całość tłumaczył Stanisław Mędak. Oto pierwszy fragment.

Tekst reklamowy — i nie tylko — z tylnej obwoluty książki:

300 do 500 miliardów dolarów! Taka jest szacunkowa suma zysku osiągnięta każdego roku na międzynarodowym rynku narkotyków. Głównym poplecznikiem pieniędzy zgromadzonych na śmierci innych jest szwajcarski system bankowy, który nie ma równego sobie w zakresie dyskretnej przyjmowania i recykliacji międzynarodowych kapitałów.

W czterdzieści lat od momentu wydania publikacji „Une Suisse audessus de tout soupçon”, oskarżającej hipokryzję sekretu bankowego i tak zwanego konta „na numer”, Jean Ziegler rozkłada na czynniki pierwsze międzynarodowy proces recykliacji brudnego szmalu, którego stolicą jest Zurych. W oparciu o precyzyjne przykłady autor pokazuje, w jaki sposób organizacje kryminalne działające na całym świecie, dysponujące znakomitą siecią handlową, nowoczesnymi laboratoriami, policją wyszkoloną przez profesjonalistów, życzliwymi w stosunku do nich bankami, przeniknęły do tkanki państwa i cieszą się na terenie Emiratu Helweckiego skutecznym poparciem ze strony niektórych ważnych osobistości świata politycznego i prawniczego.

Rzucając światło na system zbrodniczych organizacji, nazywając po imieniu szefów i ich wspólników, Ziegler poprzez swą książkę chce przyczynić się do unicestwienia zbrodniczej siły zagrażającej organizmom państwowym.

Emirat Helwecki

Szwajcaria — ziemia o krajobrazie zdumiewającym w swym pięknie. Kraj ten ukształtował moją wizję świata, mój stosunek do ludzi i historii. Ta sama Szwajcaria, która jest siedliskiem zbrodni, stanowi dla mnie jedną wielką zagadkę.

Aktualnie największa na świecie turbina w procesie „wybielania” brudnych pieniędzy pochodzących z nielegalnego handlu narkotykami i ich recykliacji. „Pralnia” brudnego szmalu zarobionego na śmierci innych. A przecież przez stulecia był to kraj o nieskazitelnej opinii, symbol praworządności. Dzisiejsza Szwajcaria to ognisko zarazy. Zarazy roznoszonej przez międzynarodowe organizacje zajmujące się handlem narkotykami i nie stroniące od zbrodni. Organizacje wspomaganie przez gestorów, przez bankierów i adwokatów o rzadko spotykanej amoralności. Tak dobrze zorganizowana maszyna jest dla demokratycznych społeczeństw naszego globu przeciwnikiem praktycznie nie do pokonania. W tym sensie przypadek Szwajcarii jest paradigmatyczny.

Nielatwo zrozumieć współczesną Francję. Jeszcze trudniej zdefiniować Szwajcarię. Próba uchwycenia „ja” Szwajcarii to tak jak walka z wiatrakami. Nigdzie na świecie nie udało mi się zauważyć formacji społecznej, która byłaby bardziej ignorancka niż ta szwajcarska; nigdzie na naszym globie nie ma podobnego organizmu społecznego tak konsekwentnego, upartego w swoim postępowaniu, tak tajemniczego i wrogiego autokrytyce, tak zaciekle zdecydowanego bronić swej kokonowości. Ten kokon, przez który nie jesteśmy w stanie się przebić to Konfederacja Szwajcarska.

Kraj ten usytuowany jest na skrzyżowaniu wszystkich wielkich cywilizacji europejskich (prócz iberyjskiej i skandynawskiej) i zajmuje powierzchnię 42 295 kilometrów kwadratowych. Z tego zamieszkała jest tylko jedna trzecia terytorii.

Szwajcaria aktualnie liczy 6,8 miliona mieszkańców. Na to, co określamy narodem szwajcarskim składają się cztery, zupełnie różne grupy narodowościowe. Każda z tych grup z godną podziwu zaciekleścią broni swego dziedzictwa kulturowego, swego języka, swej religii, swych obyczajów, zwyczajów i przesądów. Do liczby 5,8 miliona Szwajcarów dorzucić należy 1 milion obcokrajowców rezydujących w tym kraju.

Drugie najbogatsze państwo świata

Najbogatszym państwem świata są Zjednoczone Emiraty Arabskie. Zaraz po Emiratach plasuje się Konfederacja Szwajcarska. Podstawowym bogactwem Emiratów Arabskich jest ropa naftowa. Bogactwo Emiratu Helweckiego stanowią pieniądze innych. Moneta szwajcarska należy do najbardziej stabilnych, najtwardszych walut świata. W 1989 roku Narodowy Bank Szwajcarii posiadał rezerwy w złocie sięgające 2590 ton i zajmował trzecią pozycję w tabeli najbogatszych centralnych banków świata. Ten miniaturowy kraj, który zajmuje tylko 0,15 proc. naszej planety, którego mieszkańcy stanowią zaledwie 0,03 proc. ludności globu, odgrywa w świecie rolę wcale niebagatelną. Na rynku monetarnym świata Szwajcaria zajmuje drugie miejsce, a na światowym rynku złota i światowym rynku w zakresie reasekuracji oddaje się jej palną pierwszeństwa.

Ostatnio pod jedną z arkad średniowiecznego Berna spotkałem członka rządu — doradcę Petera Spaelli. Tryskający zdrowiem, o opalonej twarzy, szczęśliwy z faktu istnienia i przewagi, jaką posiada nad innymi, opowiada mi o ostatnich swoim wielkim wyczynie zawodowym. Jako dyrektor naczelny Stowarzyszeń Asekuracyjnych Winterthur-Assurances przejmując w najbliższych dniach reasekurację National Insurance Company of China. Prawdziwy sukces! Miniaturowa Szwajcaria zabezpieczy reasekurację dla ponad 1,2 miliarda Chińczyków.

Pięć największych banków

Ozawrót głowy pripraviają potęgą i siłą przebić pięciu największych banków szwajcarskich na rynkach międzynarodowych. Co jest tego przyczyną? Odpowiedź wydaje się być zupełnie prosta: 483 miliardy franków szwajcarskich (prawie 2000 miliardów franków francuskich) w 1988 roku. Konkurencyjność banków szwajcarskich na rynkach międzynarodowych w stosunku do innych finansowych potentatów jest wynikiem ich własnej bazy. Każdego roku międzynarodowy przegląd zatytułowany „Euromoney” sporządza listę najważniejszych (tzn. najbogatszych) banków świata. W 1988 wśród 25 największych banków świata znajdujemy trzy banki szwajcarskie. Są to: Union de Banques Suisses (UBS), Credit Suisse i Societe de Banque Suisse (SBS).

Gigantyczne morze pieniędzy zalewa brzegi Emiratu Helweckiego. Każdy przypływ pozostawia na jego brzegach ogromne korzyści. Izba Rozrachunkowa w Zurychu, która reguluje międzybankowy przepływ pieniędzy, operuje każdego dnia kwotą opiewającą na około 100 miliardów franków szwajcarskich.

Strumień pieniędzy, który wprawia w ruch turbinę szwajcarskiego imperium, ma swe trzy źródła: źródło pieniędzy czystych, będących wynikiem transakcji legalnych, pieniędzy przybrudzonych, będących wynikiem omijania przepisów podatkowych przez klasy rządzące Francji, Włoch, Niemiec, krajów skandynawskich, lub też defraudacji dokonywanych przez możnych krajów Trzeciego Świata, oraz trzecie i najważniejsze, najbardziej zanieczyszczone źródło, w którym odnajdujemy tzw. brudny szmal (w oryginale: l'argent noir, albo argent sale — rzyp. t.). Przyjmowaniem, kamuflowaniem, reinwestowaniem i w końcu „praniem” brudnego szmalu — łupu kryminalistów i międzynarodowych, nielegalnych siatek handlarzy narkotykami i bronią, zajmują się emirowie szwajcarscy.

Sekret bankowy

Rozporządzenie prawne z 8 listopada 1934 roku, wprowadzające w życie przepis dotyczący tzw. sekretu bankowego, skutecznie ochrania te góry złota, dewiz, papierów wartościowych przed niedyskrecją obłupionych państw, przed ich urzędami skarbowymi, a czasem nawet przed wierzycielami mającymi za sobą prawo. Przykładem są stowarzyszenia, spółki handlowe i rodziny żydowskie z całej Europy, które począwszy od 1933 roku zdeponowały w bankach szwajcarskich setki milionów dolarów i kapitału pod najprzeróżniejszymi postaciami. Podczas wojny nazistej wymordowali 6 milionów Żydów. Po jej zakończeniu około 7000 Żydów, którym udało się przeżyć pogrom wojenny i którzy byli legalnymi spadkobiercami, domagało się zwrotu swego majątku. Spośród tej liczby jedynie 961 Żydów zostało usatysfakcjonowanych (jeśli można użyć tego słowa). Emirat szwajcarski zwrócił im 9,5 miliona franków szwajcarskich. Astronomiczne sumy, uznane (zgodnie z prawem) za „bez fizycznie istniejącego wierzyciela”, przeszły na własność banków szwajcarskich.

Według amerykańskiego towarzystwa powierniczego McKinseya globalna kwota majątku prywatnego zarządzanego przez banki i instytucje finansowe działające w Szwajcarii opiewa aktualnie na 1200 miliardów franków szwajcarskich. W ciągu ostatnich pięciu lat suma ta wzrosła o 20 proc., połowa zysku wynika z reinwestycji, pozostała część pochodzi z dopływu świeżego kapitału.

Studia McKinseya wskazują również źródła wpływów: 40—45 proc. kapitału pochodzi z Europy, 15 proc. z Ameryki Łacińskiej, około 25 proc. ze Szwajcarii; pozostałe zaś 10 proc. pochodzi z innych regionów świata.

Miliardowe kredyty

W 1988 roku kapitał własny Szwajcarii za granicą określony został kwotą 124 miliardów franków szwajcarskich, z czego na każdego mieszkańca przypada ponad 20 000 franków szwajcarskich.

Liczbami tymi Szwajcaria bije na głowę pierwszą potęgę przemysłową Europy — Niemcy, których nadwyżka finansowa w obrocie zagranicznym za rok 1988 osiągnęła „jedynie” 185 miliardów franków szwajcarskich. Kredyty i inwestycje itp. rodem ze Szwajcarii są szczególnie zaskakujące w krajach azjatyckich i afrykańskich, wśród których na wyjątkową uwagę zasługuje Republika Południowej Afryki. Komisja Prawna ONZ w raporcie z września 1989 roku powściągliwie zaznacza, że dzięki wielkiemu bankom helweckim, które udzielają olbrzymich kredytów i systematycznie je odnawiają, rasistowskie rządy despotów Pretorii otrzymują „cenną dawkę tlenu”.

Zyski netto osiągane przez pięć największych banków szwajcarskich stanowią dzisiaj sumę sięgającą ponad 2 miliardów franków szwajcarskich. Mniej więcej taką samą kwotę zadłużone kraje Trzeciego Świata musiały zwrócić tym właśnie pięciu bankom w 1988 roku z tytułu swych zadłużeń.

Przypominam sobie jedno z listopadowych popołudni, które spędziłem w sali posiedzeń Komisji numer 86 na drugim piętrze Pałacu Federalnego.

Promienie słoneczne przedostające się przez witraże okienne, wykonane przez artystów lombardzkich tworzących w Bernie w ciągu całego XIX wieku, zalewały twarze, ściany i meble.

Najbardziej zadłużony kraj świata

Na porządku dziennym obrad Komisji Handlu Zagranicznego znajduje się punkt dotyczący zrefinansowania zadłużenia zagranicznego Brazylii. Brazylia, po Meksyku, jest dzisiaj krajem najbardziej zadłużonym na świecie. Wielkość zadłużenia na dzień 31 grudnia 1988 roku wynosiła 126 miliardów dolarów. Zadłużenie to jest przyczyną olbrzymich problemów społecznych i ekonomicznych.

Za każdym razem, kiedy czarne kruki Międzynarodowego Funduszu Monetarnego pojawiają się nad Brazylią, w kraju tym znikają subwencje socjalne, zamyka się setki przychodni lekarskich, szkół, kantin. Na trotuarach wielkich miast wyrzela atlantyckiego pojawia się coraz więcej bezdomnych dzieci i żebraków. Powoła umierają z głodu garimpeiros, boia fria i ich rodziny zamieszkuje nie kończące się sertao, dzielnice nędzy Minas Geras, przydrożne tereny Amazonii. Pary, wiejskie osiedla Północy. Garota długów uśmierca szczególnie rodziny najbiedniejsze i wielodzietne. Należność Brazylii z tytułu odsetek i amortyzacji długów za 1989 rok — jeśli zostałyby zwrócone — byłoby wyższe niż całość dochodów tego państwa z eksportu.

Wypasiona gęba jednego z dyrektorów Banku Narodowego — o wydatnym nozalu, wąskich wargach, zielonych oczach tryskających inteligencją — wylicza brazylijskie cyfry postępującego spadku w zakresie inwestycji przemysłowych, rezerw pieniężnych Centralnego Banku Brazylii będących na wyczerpaniu, inflacji, wzrostu bezrobocia oraz pripraviającej o zawrót głowy wyżki śmiertelności dzieci. Wniosek: trzeba przyznać Brazylii nowy duży kredyt!

W sali posiedzeń Komisji obok mnie siedzi poseł reprezentujący środowisko wiejskie Turgowii. Mało obyty w piruetach krasomówczych bankierów, lokalnych mistrzów, prosi o głos, pokasłuje i zaczyna z lekka przestraszony: „Jeśli was dobrze zrozumiałem, Brazylia znajduje się na progu bankructwa. Po co więc rzucać na nowo w tę przepaść miliony franków?”

Sępy, piraci — i prostaczki

Wspaniały sęp podnosi swe zielone oczy na prostaczka. Ze słodyczą pyszałka odpowiada: „Szanowny panie pośle, w Carajas, w północnych regionach kraju, odkryte zostały nie spotykane dotąd na tym kontynencie pokłady uranu i manganu. Znajdują się one o dwa kroki od morza. Fakt ten przyniesie nam dodatkowe korzyści. Widzi pan, jesteśmy zabezpieczeni”.

W dalszej części swego przemówienia pirat podkreślił, że unieruchomiona, wykrawiona i w zasadzie niewyplacalna Brazylia znajduje się na samym dnie przepaści. Mimo to nic nie stoi na przeszkodzie — zdaniem mówcy — aby pojawić się tam z całą gwałtownością i cynizmem, okazać swą władzę i skuteczność działania, unieważnić suwerenność Brazylii, pogwałcić jej terytorium i ostatecznie zawiadnąć bogactwami, które należą się zdobywcom! Dumni i usatysfakcjonowani członkowie Komisji przegłosowali wniosek.

Wraz z wieśniakiem sprzeciwiamy się decyzji, której celem jest złupienie pokładów w Carajas. Wraz z wieśniakiem z Turgowii, który jest ogromnie zaniepokojony faktem głosowania z odrażającym lewicowcem.

W helweckim imperium tak jak w Imperium Charlesa Quinta nie zapada nigdy noc. Imperium to żywi się z ukrywania kapitałów nie poddanych opodatkowaniu, jak również, a może nawet przede wszystkim, z wybielania brudnego szmalu zdobytego na nielegalnym handlu narkotykami.

Brudny szmal deprawuje ludzi i demoralizuje instytucje.

Książka ta opowiada, w jaki sposób zorganizowana zbrodnia przenika do wielowiekowej demokracji. Pokazuje również zasięg niebezpieczeństwa i proponuje metody, jakimi można je zwalczyć.

(CDN)

Genewa, maj 1990

Po co ludziom filmy DZIKOŚĆ KINA

Adam Garbicz

Nie to, że ubiegłoroczna nagroda „Złotej Palmy” w Cannes została przyjeta gwiazdami; tumult przy ogłoszeniu Grand Prix zdarza się tam wśród wyfraczonych publiczności często, może nawet nobilituje? **DZIKOŚĆ SERCA** ma przecież pośród wygwizdanych poprzedników nawet **PRZYGOŁĘ**. Upodobania canneńskiej socjety są zawężone do produktów gustownych, lekkich, nie facygujących umysłowo i respektujących normy.

Nie też, że film Lyncha nie był w ogóle brany pod uwagę w nominacjach do „Oscarów”. To już nie o to chodzi, że jak dotąd oprócz filmów zbyt głupich „Oscara” nie dostają także te zbyt mądre; rzecz także w tym, że przyjęto nie dawać go westernom i filmom sensacyjnym, a tym bardziej filmom prowokującym, brutalnym i awangardowym estetycznie.

Niczego również nie wydaje się przesądzać canneńska opinia polskich dyżurnych sprawozdawców, w tym przypadku Stanisława Wyszomirskiego i Jerzego Płażewskiego. Pierwszy, jak się zdaje, pisanie na temat kina traktował jako hobby w drodze do kariery na opustoszałym placu lat osiemdziesiątych. Obecny naczelny „Ekspresu Wieczornego” miał jednak niewiele sensownego do powiedzenia o istocie filmów oglądanych na festiwalach, a jego spostrzeżenia o **DZIKOŚCI SERCA** („akcja jest tak pogmatwana, niejasna i pokrętna, że wszelka analiza może być zawodna”) wykluczają zajmowanie się nimi na poważnie. Płażewski, niewątpliwie zasłużony krytyk, stał się jednak popełniając fundamentalny błąd René Claira („rozumiem tylko te filmy, które mi się podobają”), dołączył w dekadzie stanu wojennego do innych aktywnych w tym czasie wysłanników zagranicznych, których wyroki przestały cokolwiek znaczyć w świecie tak bardzo już odmiennym od zaścianka ich pojęć, pretensjonalnych uwag, apodyktycznych ocen i oportunistycznego politycznego. Sformułowane przez Płażewskiego konkluzje wyglądają następująco: fabuła jest mizerna i niechytra, styl programowo i bezwstydnie miesza wszystko ze wszystkim, o co więc chodzi? O to, że Lynch tak sobie postanowił i już. Płażewski „nie chciałby, aby **DZIKOŚĆ SERCA** miała zlynchować światowe kino”. No cóż, jak zauważają złośliwi, może opinie Płażewskiego mają sens, tylko je trzeba brać na opak.

Jednakże **DZIKOŚĆ SERCA** ma wielu przeciwników poważniejszych niż tupańcy snobi Cannes, clocie z Hollywoodu i etatowe Temidy z Warszawy. Są to przeciwnicy zamierzeni. Otwierający tegoroczne „Konfrontacje” film jest wyzwaniem tego samego pokroju, co „Szal” Podkowińskiego, czy „Diabeł wcielony” Radigueta. Można tę prowokację nagrodzić, jak nagrodziło ją Grand Prix festiwalowe jury pod wodzą Bernarda Bertolucciego, ale nie należy oczekiwać, aby została powszechnie zaakceptowana. Nawet przy założeniu, że wszyscy są w stanie docenić demonstrowane przez Lyncha poczucie komiczności zachowań i sytuacji.

Kwestią sporną jest tu bowiem zasadność

zamiaru artystycznego. Treść jest z tych odwiecznych: dwoje młodych się kocha, rodzice (matka) są przeciw, mnożone za wszelką cenę przeszkody nie zdołają jednak zniszczyć miłości. Za proste? No, ale przecież „Romeo i Julia”... Tak, istota polega na szczegółach i stylu opowiadania. U Lyncha styl i szczegóły wiążą się ściśle w postmodernistycznym węźle, bowiem trzeba rozumieć sens węzowej — Orfeuszowej-Presleyowskiej skóry bohatera, należy znać od dziecka „Gardzieja z Oz” (a to w Polsce terra incognita), trzeba rozumieć kontekst *road movie*, aby odbierać sygnały tego persyflażu Lyncha; wszystko zamyka się w stylistycznej metamorfozie i w transtestacji podstawowej amerykańskiej bajki o wędrowce drogą z żółtej cegły, którą poprzednio przeszli już beatnicy i kontestatorzy. Bajki: nie ma więc bogactwa psychiki i złożoności reakcji. Są sylwetki, symbole i arealność.

Do tego Lynch stosuje estetykę szoku, onirycznej maligny, filmowego formalizmu; wyłamuje się z kryteriów, tworzy nowe. Nie da się uzasadnić, dlaczego nagł erotyzm, fontanny krwi, oderwane głowy, prowokacje skatologiczne miałyby być słuszne w **DZIKOŚCI SERCA**, a naganne w pornograficznej tandencie lub ordynarnym kinie przemocy: akceptacja tego obrazu jest kwestią smaku. Kwestią zgody na atrybuty kultury amerykańskiej, a szczególnie kultury pop. Zaaprobowanie poetyki Lyncha jest zapewne w ogóle niemożliwe dla kogoś nie poddającego się rytmowi rocka, dla kogoś o zamkniętych horyzontach i braku wolności wewnętrznej; być może jest wykluczone dla tych, którzy odrzucają młodość. Czysta wewnętrznie bohaterka ocenia z oburzeniem ten świat jako „niesamowity na powierzchni i dzięki w sercu”: a cóż za naiwność, można łatwo powiedzieć. Tak, Lula jest młodzianka i naiwna, co w sercu to na języku, ale czy największe wzruszenia nie łączą się właśnie z czasami niewinności i poddawaniem się prostocie widzenia?

Tej czystości i prostoty nie można w dzisiejszym świecie szukać na bukolicznych łąkach; toteż bohaterowie Lyncha uciekają, by się ocalić, przez piekło. Jest to podród ekspresywna. Gdy włoski krytyk Nino Caprale komentował ubiegłoroczną główną nagrodę festiwalu weneckiego (**ROSENKRANTZ I GUILDENSTERN NIE ZYJE**), podsumował tak: „Wszystko w porządku, jesteśmy w Wenecji, więc Grand Prix dostał film przypominający dorożkę. W Cannes palma przypadła filmowi *Formuły I*”.

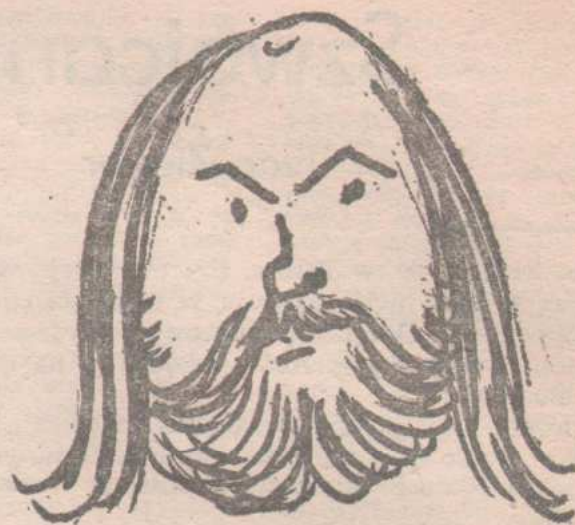
Można to rozumieć dwójako. „Szybko” nie jest tożsame z „dobrze”. Ale kino stało się szybkie i dzikie. Uważa się, że obecnie szansę mają tylko artyści pokroju Lyncha, domena talentu którego — jak zauważa brytyjski as krytyki Jonathan Rosenbaum — nie jest umiejętnością prowadzenia narracji, lecz kreowanie nastrojów, struktur znaczeniowych, tajemniczych, halucynacyjnych obrazów. Lynch może stać się mistrzem dzikiego kina ostatniej dekady naszego wieku. Być może już nim jest.

taczył swoje dowcipne poza tym zestawienie „starej” i „nowej” historii Polski: w tej „nowej” (tj. dziś obowiązującej) umieścił zbrodnię w Katyniu pod rokiem 1941... Ze w „starej” figuruje Józef Marchlewski (zamiast Juliana) — to już drobniaczek. (hm)

Na pewno tylko w rozstrągnięciu „napisało się” prof. Januszowi Tazbirowi („Polityka” nr 7), że to Krzysztof Zborowski „pochwycony (jako banita) dał gardło w Krakowie 26 maja 1584 r.”. Oczywiście, chodziło o Samuela Zborowskiego. Drzymał Homer niekiedy; tym razem zdrzemnął się i autor, i redaktor działu. (hm)

W telewizyjnym „Pegazie”

Wacław Kłag przedstawia:



Andrzej Sikorowski

HYDE PARK czytelników

Pan ADAM ROGOZIŃSKI z Nowego Sącza pisze do „DL”, że czeka na druk nadesłanego w styczniu zestawu wierszy: „Chodzi mi szczególnie o wiersz zatytułowany „Bóg”. Uważam go bowiem za najbardziej udany, fachowy, a że jestem fachowcem, to udowodnię nadesłanym wierszem a raczej wersetami w tym samym kontekście poematu, który właśnie piszę. Oto onet

Świat to dzieło artystyczne
nadgenialne i krytyczne
każdy w nim coś sieje, orze
gdyż jest po to w tym utworze

I poezja jest naturą
wszystko zaś literaturą
człowiek czyta to i tworzy
i kulturę świata mnoży.

Zycie treść ma, wątek i osnowę
jak poezje stare i nowe
składa się z liter, słów i zdań
literatury różnych dań.

W związku z tym się pytam: „czyż nie jestem fachowcem?” — dodaje autor.

Odpowiedź na to pytanie pozostawiamy Czytelnikom

Camera obscura

Uwaga! Szerzy się błędne rozumienie wyrazu „spolegliwy”. Oto np. Stanisław Starobro pisze w „Dekadzie Literackiej” (nr 10): „za myśli nazbyt spolegliwą w stosunku do różnych dogmatów będzie tylko pogarda tłumy”. „Spolegliwa” ma tu znaczenie „ufna”. A tymczasem „spolegliwa” to nie znaczy „ufna”, lecz taka, na której można polegać (jak na Zawiszy), której można zaufać. (hm)

Anna Bojarska („Nowe Książki” nr 12) zatamuje ręce: „Ludzie kochani, czy zdajecie sobie sprawę, że nie wydano u nas (poza jednym fragmentem) nawet „Satiriconu” Petroniusza, dzieła sprzed dwóch tysięcy lat? Nieprawda. Wydano całość i to w

szacownej „Bibliotece Narodowej” (w r. 1968). Janusz Węgiełek (tamże) żali się, że w bibliotece IBL nie znalazł żadnej informacji o Wacławie Solskim. Wystarczyło tymczasem sięgnąć do „Leksykonu polskiej literatury emigracyjnej” Jana Zielińskiego (wyd. I, 1987, pod pseudonimem Jan Kowalski). O Solskim pisze też obszernie Marian Stępień w „Dalekich drogach literatury polskiej”. Zbigniew Florczak pisze (tamże) „Yonnesco” zamiast „Ionesco”, „Brancuzi” zamiast „Brancusi”. Nie bardzo przystoi miłośniczce i bibliografii przepuszczać takie błędy. (hm)

Michał Ogórek (Gazeta Wyborcza nr 40) okropnie spar-

(21 II) pokazano wywiad z poetką Adrianną Szymańską. Prowadząca go dziennikarka zaczęła od pytania o rolę fizjologii (?) w poezji autorki. Odpowiedź na nie posiadała taki mniej więcej przebieg: z tą fizjologią to chyba przesada, interesuje mnie raczej biologia, tak zaś naprawdę, to skupiam się na istocie rzeczy, czyli na ontologii, centralnym jednak punktem pozostaje metafizyka. Poeci nie mają obowiązku mądrze komentować swojej twórczości. Ale redakcja audycji kulturalnej winna jednak dbać jakoś o ich interesy i zrzędnować z wypowiedzi, jeśli jest ona niedorzeczna. (tw)

W poprzednim nr „Dekady” złośliwy chochlik zamknął autora rubryki „Co nowego w prasie”, w wyniku czego przesłano Stowarzyszenia Pisarzy Polskich przypię-

sano imię Jerzy, zamiast chrzestnego Andrzeja. Za pomysłkę serdecznie przeproszamy Pana Andrzeja Brauna i Czytelników. (j)

Odpowiedź na notkę HM „D. L.” nr 13: Wandą Melo i Karol Kuryluk brali, niestety, udział w procesie indoktrynacji polskiego życia kulturalnego m. in. jako członkowie dwu podkomisji, literackiej i teatralnej, powołanych przez Komisję Oświatowo-Kulturalną KC PPR 1947 r. Do wieloletnich zadań tej Komisji należało m. in. opracowanie „form kontroli we wszystkich dziedzinach twórczości”. Co oznaczało w owych latach nie trzeźwym tłumaczyć. (Zródłową dokumentację podaje J. Jastrzębski w szkicu „Miał być d... brze”. „Odra” nr 12, 1990).

DEKADA LITERACKA — tygodnik kulturalny. Wydawca: Spółka Wydawnicza „Gazeta Krakowska” Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska.

Pojedyncze egzemplarze „DEKADY LITERACKIEJ” są do nabycia w Krakowie w księgarni „Orlando” przy pl. Wszystkich Świętych 7, w kawiarni Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, ul. Kanonicza 7 i w księgarni „Galicja”, ul. Łobzowska 6.